ŚWIAT



OTWARCIE POWSZECHNEJ WYSTAWY KRAJOWEJ W POZNANIU – GŁÓWNA BRAMA WEJŚCIOWA –

HUMOR ZAGRANICZNY



— U nas właściwie pani chodzi w spodniach, a pan zajmuje się sukniami.

— Chyba pani żartuje.

— Nie, bo nasz pan jest krawcem damskim.

(„Le Rire")

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV

ŚWIAT

NR 20

WARSZAWA, DNIA 18-go MAJA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

OTWARCIE P. W. K.

WSPANIAŁY DOROBEK DZIESIĘCIOLECIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dopiero po zwiedzeniu Powszechnej Wystawy Krajowej staje się rzeczą jasną, dlaczego w Poznaniu, a nie w stolicy, czy w innem wielkiem mieście naszem, urządzono pierwszy przegląd generalny dziesięcioletniego dorobku niepodległego Państwa Polskiego.

Wynikło to nietylko z faktu, że Gród Przemysława starszy jest od Warszawy i dorasta wiekiem Krakowowi; nietylko stąd, że na Ziemi Wielkopolskiej stała kolebka naszego narodu; nawet nie dlatego, że Poznań w ciągu wieków największego doświadczał naporu żywiołów nam wrogich, w ostatniem zaś stuleciu najdotkliwszym uległ prześladowaniom, a mimo to ostał się i obronił swą polskość; — lecz dlatego głównie, że dzielnica ta pod względem społecznym, gospodarczym i kulturalnym najpełniej i najrówniej rozwinęła się. Może gdzieindziej napotkalibyśmy więcej i wyższych szczytów, ale obok otwierałyby się przerażające niziny. Z pewnością po innych miastach znaleźlibyśmy wspanialsze zabytki sztuki, większe fabryki, szersze ulice i piękniejsze gmachy, ale tuż przy nich mieściłyby się odrażające rudery, nędzne kramiki, zapuszczone i cuchnące zaułki.

Poznańskie nie zna tak wielkich różnic poziomu kulturalno - społecznego. Można je przyrównać do płaskowzgórza, na którem wszystko układa się porządnie i proporcjonalnie. Przemysł tej dzielnicy rozwija się normalnie i posiada już na wielką skalę zakrojone przedsiębiorstwa; rolnictwo osiągnęło najpiękniejsze z całej Polski rezultaty; handel jedynie tutaj ma czysto polski charakter; rzemiosło prosperuje; zawody wolne przez pierwsze dziesięciolecie niepodległego bytu zdołały już się dociągnąć do potrzebnej wysokości; miasta są czyste i urządzone; wsie i osady nie pozostawiają nic do życzenia; całe życie jest lepiej zorganizowane, niż w innych dzielnicach. Mamy tu już stosunki zupełnie europejskie. Czuć Zachodem.

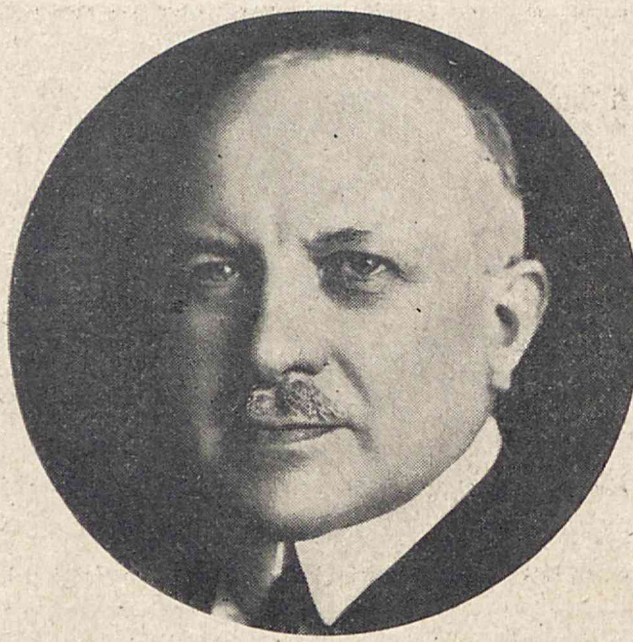
To też żadna prowincja, ani żadne miasto nie mogłyby w tak krótkim czasie, bo w ciągu lat trzech niespełna, stworzyć wielkiego dzieła, jakiem jest Wystawa Poznańska. Ogromem swoim, wszechstronnością, urozmaiceniem, estetycznym wyglądem, technicznemi urządzeniami, systematyką i przejrzystością układu przerasta ona nietylko wszystkie dotychczasowe wystawy polskie, lecz dotrzymuje kroku i prześciga nawet imprezy zagraniczne.

Na wielkich przestrzeniach, z których połowa przeszło przed dwoma jeszcze laty zajęta była pod kartofliska i grochowiska, wyrosło całe wspaniałe miasto, mieniące się jaskrawemi barwami gmachów, a wieczorem tonące w kaskadach różnokolorowych świateł. Miasto to drga równomiernym ruchem maszyn, przykuwa oczy efektownemi eksponatami, zachwyca pomysłowością pawilonów, zieleni się szpalerami drzew i plamami trawników, cieszy oczy pięknem kwietników, wspaniałością wodotrysków i artyzmem wzniesionych nagle pomników. Żyje ono i pracu-

CI, CO ZORGANIZOWALI POWSZECHNĄ WYSTAWĘ W POZNANIU



Prezydent Cyryl Ratajski, Prezes Rady Głównej P. W. K.



Minister Dr. Bertoni, Komisarz Wystawy Rządowej na P. W. K.



Dr. Stanisław Wachowiak, Prezes Zarządu i Naczelny Dyrektor P. W. K.

je, bawi się i uczy, kłębi i układa w oznaczone nurty ludzkie.

Miasto to ma swoje dzielnice wyraźnie zarysowane. Więc na starym placu, gdzie odbywają się Targi Poznańskie, wokół przemalowanej i wyszlachetniałej jakby Wieży Górnośląskiej, rozłożył się ciężki przemysł żelazny, węglowy, elektrotechniczny, chemiczny, papierniczy, włókienniczy. Niema tam martwych towarów, wielkich wykresów, suchych statystyk; a jeśli nawet są, to nie rzucają się w oczy, stanowiąc raczej odsyłacz dla pragnących ściślej poinformować się o danej gałęzi produkcji. Na tem tle występują i jedynie przyciągają zwiedzających maszyny w ruchu, kręcące się koła, unoszące się lewary, bijące młoty, warczące warsztaty, turbiny, silniki, — całe wnętrza fabryk i kopalń w minjaturze i w skrócie. Można poznać jednym rzutem oka wszystkie fazy kopalnictwa węgla i przeróbki żelaza.

Ale przechodzimy dalej i znajdujemy się wnet w innej dzielnicy wystawy: olbrzymi trzypiętrowy gmach przeznaczono na Pałac Rządowy; tu wszystkie ministerstwa w sposób poglądowy zdają sprawę ze swej dziesięcioletniej działalności. Naprzeciwko, w równie okazałym gmachu, przed którym rozesłano przepyszny kobierzec roślinny, ulokowała się wystawa sztuki: jakby salon retrospektywny naszego malarstwa, rzeźby, grafiki. Osobno prezentują swój dorobek samorządy, składając dowód, że dziesięciu lat ubiegłych nie zmarnowały. Pałac wychowania fizycznego i Pałac Polonji zagranicznej zamykają ten dział wystawy, mający najbardziej oficjalny i reprezentacyjny charakter.

Sąsiedni teren — t. zw. park Wilsona usposabia weselej i frywolniej. Tu mieści się centralna restauracja wystawowa w starym budynku po-browarnym, a przy niej kabaret artystyczny, prowadzony przez znanego aktora Brylińskiego. Kto po sutej libacji chce odetchnąć czystem powietrzem, a nie kontentuje się swojskim, przetrzebionym już drzewostanem parku Wilsona, niechaj podąży do wspaniałej palmiarni, ledwie wykończonej na wystawę. Po drodze może obficie zaopatrzeć się w pisma, ulokowane w zbiorowym pawilonie prasy, lub obejrzeć cudne modelki Hersego w domku „Pięknej Pani".

Feminizm poważniejszego typu znajdzie wiele ciekawych eksponatów na pokazie pracy kobiet: umysłowej, zawodowej, społecznej, gospodarczo - domowej, zdobniczej, artystycznej.

Obok zwiedzić należy bardzo interesujący domek przemysłu muzycznego, przepiękny kryształowy pawilonik przemysłu szklanego i budynek wystawowy uzdrowisk polskich, przed którym urządzono „pijalnię" wód. Cała ta część wystawy jest jakby dzielnicą willową w wielkiem mieście: masa w niej kwiatów, zieleni, przestrzeni, a wspaniały wodotrysk — bodaj najsilniejszy w Polsce—niemało przyczynia się do jej upiększenia.

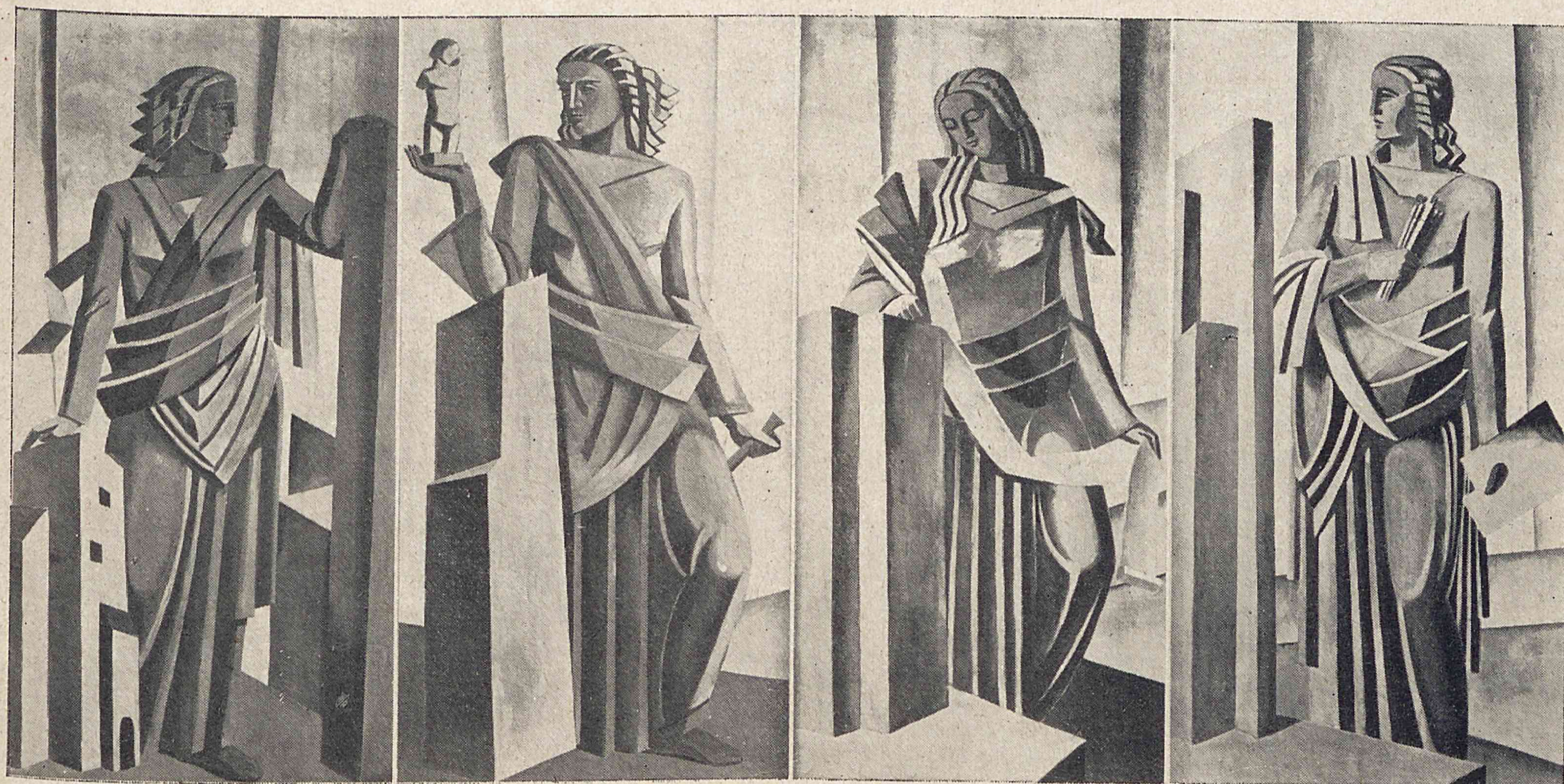
Po moście nad ulicą Matejki dostajemy się do dzielnicy handlowej. Niema tu wprawdzie wytwornych magazynów, jak na poznańskim Placu Wolności, ani przeładowanych składów, jak na Nalewkach; handel ma raczej charakter jarmarczny lub odpustowy — w wykwintnym jednak stylu. Niezliczona ilość kramów i bazarów z wyrobami ludowemi, cackami, świecidełkami, zabawkami, pamiątkami z wystawy — przyciąga tłumy pań i zachwyconą dziatwę. Każdy chce coś kupić za złotówkę. Jest jednak i solidniejsza reprezentacja kupiectwa: — szereg firm pokazuje wzorowe urządzenia handlowe i dekoracje okien wystawowych, a nawet najsolidniejsza, starannie unikana przez szeroką publiczność: pokazy



Leon Szczurkiewicz, Dyrektor Administracyjny P. W. K.



Dyr. Ostrowski-Bełza, Zastępca Naczelnego Dyrektora P. W. K.



Architektura — Rzeźba — Grafika — Malarstwo

Izb Przemysłowo - Handlowych, Zrzeszeń Kupieckich i Towarzystw Ubezpieczeniowych. Wystawa rzemiosł uzupełnia ten swoisty dział.

Docieramy do najdalszego i największego terenu P. W. K. To już jakby przedmieścia wystawy — uprzemysłowione, związane ekonomicznie ze wsią, z rolnictwem, — królestwo przemysłu spożywczego. Młynarstwo, piekarstwo mechaniczne (z czynnemi piecami, z których jeść można na miejscu bułeczki i ciastka), wyroby cukiernicze, przetwory owocowe, zbożowe, browarnictwo, gorzelnictwo, cukrownictwo, przemysł ziemniaczany, konserwy rybne i warzywne — ktoby tam zresztą wszystko wyliczył — mają tu swoje stoiska. Opodal ulokował się przemysł cementowy, przemysł budowlany, ceramika budowlana i szlachetna, meblarstwo, przemysł kosmetyczno - perfumeryjny, galanteryjny, złotniczo - jubilerski — słowem, wytwórczość bliska codziennemu życiu, przyjemna i pociągająca.

Ale wnet dostajemy się w sferę maszyn rolniczych, a o krok dalej jesteśmy już poza naszem miastem wystawowem — wśród ogródków wzorowych, pólek doświadczalnych, grządek nasiennych, roślin technicznych, szczepionek, szkółek, modeli urządzeń meljoracyjnych. — Wszystko to pod gołem niebem pokazane, a w sąsiednich specjalnych pawilonach uczenie objaśnione i statystycznie obliczone. Leśnictwo, łowiectwo i przemysł drzewny przenoszą nas do głębin puszcz i ukazują ich cuda. Gdyby kto nie chciał się tam zapuszczać, może jeszcze wypróbować wartość nawozów sztucznych, zbadać działalność Ziemianek i Włościanek, zwiedzić wzorowe gospodarstwo hodowlane, obejmujące stajnię, oborę, chlewnię, kurniki i silosy do konserwowania paszy na zimę, zapoznać się ze stanem mleczarstwa i jajczarstwa, jedwabnictwem i bartnictwem, z hodowlą królików i z gospodarstwem rybnem.

Gdy już to wszystko obejrzymy dokładnie, jeszcze Wystawy opuścić nie można. Pozostaje dzielnica ostatnia, najmilsza, jakby Montmartre paryski. Któż, będąc dla studjów czy interesu nad Sekwaną, nie spędzi choć jednego wieczoru na Place Pigalle? Wystawa Poznańska ma też swój Montmartre. — t. zw. „Wesołe Miasteczko". Jest to połączenie Lunaparku ze wszystkiemi jego ekscentrycznemi zabawami ludowemi, z innemi rodzajami rozrywek, spektakli, pokazów, zawodów sportowych, atrakcji egzotycznych w rodzaju urządzanych w „Jardin d'Acclimatation", jak wioska murzyńska i t. p.



Po zwiedzeniu tej dzielnicy wystawowej, już nic nie pozostaje do zrobienia, jak udać się na spoczynek do nowiutkiego, komfortowo urządzonego hotelu, specjalnie wybudowanego na wystawę.

I tam dopiero, w ciszy wygodnego pokoju, zdać można sobie sprawę, jak wielką imprezą jest wystawa poznańska, ile ona pochłonęła trudów i kosztów, jak wreszcie szczęśliwą sposobność przedstawia dla wszystkich, którzy zechcą poznać w ciągu dni paru, a choćby kilkunastu godzin, dorobek Polski na wszystkich polach pracy, zgromadzony i skondensowany w jednem miejscu, na jednym placu, pod starożytnem i sławnem miastem, które samo może być uważane za wspaniały eksponat urbanistyki.

A gdy to wszystko uprzytomnimy sobie, to przerazimy się szaleństwem przedstawienia tak wielkiego materjału w jednym artykule i dojdziemy do przekonania, że o P. W. K. trzeba będzie jeszcze pisać i pisać.

W. Giełżyński

Poznań, 16 maja.

Opowieść o Irichaneku i Rudej

Irichaneki był głodny.

Czuł w żołądku pustkę i czczość już od samego rana. Jeszcze papugi spały, gdy wyszedł szukać pożywienia i nie znalazł go do tej chwili. A słonce zaczynało się już przecież zniżać ku zachodowi. Wprawdzie udało mu się znaleść parę owoców kajmito i kilka jadalnych robaków, ale cóż to znaczyło dla takiego rosłego chłopaka? Rozglądał się tedy na wszystkie strony uważnie, wypatrując wśród gałęzi drzew ptaków. Już kilka razy pomykała jego strzała między liście i ljany, ale, niestety, jakoś zawsze cel mijała. Nie miał dzisiaj szczęścia. A może tylko głód trząsł mu ręką w chwili brania na oko niespokojnego celu. Nie wiedział tego Irichaneki, młody chłopiec indyjski. Bo i skąd miał wiedzieć? Nie roztrząsał nigdy rzeczy, które nie dawały mu strawy lub wesela. Ale też nigdy nie tracił otuchy. Również i teraz zagłębiał się śmiało wgłąb mrocznej dżungli, nie zważając na natarczywe dopominania się żołądka. A las jakby uwziął się na swego bronzowego mieszkańca. Pochował w najtajniejszych swoich ostępach wszelką zwierzynę i ptactwo. Cisza panowała wokoło i spokój. Olbrzymie mahonie i drzewa krwiste tłoczyły się nieruchome i sztywne, niczem wykute w kamieniu posągi. Festony i zwoje ljan, szczelnie pokrywające każdą gałęź, każdy pień — zdawały się tamować swobodny oddech dżungli. Ciasno było w lesie i duszno. Irichaneki przedzierał się z trudem przez splątaną gęstwinę, wciąż wypatrując jakiegoś żywego stworzenia, które mogłoby stać się jego zdobyczą i pokarmem. Napróżno. Zwolna zaczynała ogarniać go złość pasja. Jakto, więc ma dzisiaj nie jeść? Więc dżungla nie ma dla niego nawet chudego paukara, nawet jadalnego węża, lub kameleona? Podła! Przecież jeszcze dwa dni temu poświęcił jej ćwiartkę tłustego pancernika i trzy doskonałe strzały. Taka to wdzięczność dżungli. Głodem go morzy. Ale pasja zdwoiła tylko jego uwagę i wzmogła chęć zdobycia jakiegoś smacznego kąska. Marzyły mu się tłuste udźce z pekari i sarn, widział siebie obracającego przy ognisku drewniany rożen z nadzianym nań dzikim indykiem. Ale tymczasem kiszki grały marsza.

Zbliżał się wieczór.

Nad dżunglą leciały gdzieś wysoko, krzycząc monotonnie a chaotycznie, stada zielonych papug. Już nawet sówka - urukurea zbudziła się z dziennej drzemki i pohukiwała nieśmiało. Irichaneki zląkł się nocy i zawrócił w kierunku ścieżki.

Wracał smutny.

Gnębił go głód i myśl o tem, że w chacie zastanie lament, gdy młodsze rodzeństwo ujrzy go z pustemi rękami. Bo Irichaneki musiał myśleć nie tylko o sobie. Ojca, silnego Sziłanki, zabrał biały pan. Zabrał go daleko, aby zbierał dla niego cenny sok z drzew gumowych. Ani Iracheneki, ani jego matka, a tembardziej małe rodzeństwo nie wiedzieli, kiedy Sziłanki wróci. Może jutro, może za rok, a może nigdy. Poszedł już tak dawno. Minęło już więcej księżyców, aniżeli Irichaneki ma palców u obu rąk. Ciężkie czasy nastały dla matki Kasabis i jej dzieci. Całe szczęście, że Irichaneki już podrósł i umiał chodzić z łukiem po dżungli. Całe szczęście. Nie zawsze jednak zielona karmicielka dawała im strawę. Ot, naprzykład, teraz — wraca smutny, z próżnemi rękami. Dzieli go od chaty już nie więcej, jak pół godziny drogi. Powinienby właściwie zrezygnować zupełnie z łupu, i stracić nań nadzieje, ale Irichaneki nie rezygnuje, ani nie traci nadziei nigdy. Wciąż rozgląda się bacznie wokoło i nasłuchuje.

A tymczasem dżungla ożywiła się. Niewiadomo, co było tego przyczyną. Może nawet nie było żadnej przyczyny, a tylko tak, poprostu, zaszumiał liśćmi wiaterek, a czworonożni mieszkańcy, uradowani zbliżającym się chłodem wieczornym, porzucili południowe kryjówki. Ze wszystkich stron rozlegały się jakieś szmery i głosy. To jastrząb zagwizdał, to paukar zastukał w drzewo, to załomotał skrzydłami gołąb, to znowu zaszeleściła liśćmi dzika kura. Z nawału tych głosów dobył się nagle przeraźliwy wrzask jakiegoś ptaka. Było w tym krzyku coś dziwnego, niezwykłego. Nie radość życia i nie uczucie tryumfu wyrwało go ze ściśniętej gardzieli. Był to okrzyk przerażenia, okrzyk, który wyrywa się w chwili najwyższej trwogi. Irichaneki zrozumiał odrazu, co stało się za zieloną ścianą dżungli. Serce załomotało mu radośnie. Pochylił się ku ziemi i pomknął w kierunku głosu. Gałęzie biły go po twarzy, kolce darły ciało, ljany opasywały wpół i bezczelnie przytrzymywały. Indjanin nie zważał na to więcej, jak na brzęczenie komara, lub na podmuch ciepłego wiatru. Parł całą siłą swych muskularnych ud. Tymczasem krzyk ptaka ucichł. Nie ucichły jednak szamotania się i trzask łamanych suchych gałęzi.

Irichaneki zdwoił kroku.

Teraz dzieliła go od miejsca, na którem „coś" się działo, przestrzeń nie większa, aniżeli dwa skoki jaguara. Tuż za tą ostatnią kępą bambusów rozgrywa się, czy może już się rozegrała jakaś walka. Wprawdzie Irichaneki nie znał żadnych przysłów, ale wiedział, że gdzie dwóch się bije, tam może skorzystać trzeci. Był jednak ostrożny. Przyczaił się za grubym laurem i spojrzał. O dziesięć kroków dalej, na małej leśnej polance, dostrzegł smukłą sylwetkę potężnego cielska Rudej. Groźny drapieżnik trzymał w przednich łapach dużą penolopę [1]) i mrucząc z zadowolenia, chrupał jej kostki.

Irichanekiego ogarnęły dwa sprzeczne uczucia. Chciałoby mu się rzucić na wielkie zwierzę, którego mięso, aczkolwiek niezbyt smaczne, zabezpieczyłoby jemu i jego rodzinie długie dni sytości, ale chciałoby mu się też nie narażać na niepewny bój z silnym przeciwnikiem. Nie czuł się jeszcze na siłach do walki z pumą. Był młody. W innym czasie oddaliłby się chyłkiem, aby nie podrażnić niebezpiecznego przeciwnika, ale teraz, gdy głód skręcał mu kiszki i gdy wiedział, że w domu spotka go żałosny lament, postanowił coś przeciwnego. Choćby miał zginąć, ale sprobuje pokonać Rudą. Namysł ten trwał bardzo krótko. Gdyby Irichaneki umiał określać czas na sposób europejski, mógłby powiedzieć, że nie trwał dłużej, niż minutę. Decyzja natchnęła go odwagą. Nabrał pełne płuca powietrza i wyprostował się. Ruchem cichym, którego nie powstydziłaby się sama puma, wyciągnął przed siebie łuk. Założył na cięciwę strzałę z szerokiem ostrzem bambusowem.

Zmierzył.

Puma wciąż jeszcze nie przeczuwała niebezpieczeństwa. Widocznie smaczny podwieczorek zaprzątał ją tak dalece, że zapomniała o zwykłej swojej ostrożności.

Tnnn.... — zafurczał łuk i strzała Irichaneka wbiła się w łopatkę ucztującego drapieżnika.

---

[1]) Ptak, podobny do indyka.

KOMUNISTYCZNA RUCHAWKA W BERLINIE W DZIEŃ 1 MAJA R. B.



KRWAWE MANIFESTACJE KOMUNISTYCZNE W BERLINIE: ZABITO 23, RANIONO 150, 70 OSÓB CIĘŻKO RANNYCH PRZEWIEZIONO DO SZPITALA

Puma zerwała się ruchem gwałtownym i odrazu stanęła na czterech łapach. Zawyła z bólu. Tymczasem Irichaneki wypuścił drugą strzałę. Niestety, ta druga miała ostrze cienkie, przeznaczone na drobną zwierzynę.

Snać oba pociski nie ugodziły pumy śmiertelnie, gdyż groźny zwierz ruszył w raźnych podskokach ku drzewu laurowemu, za którem czaił się Irichaneki.

Indjanina ogarnęło przerażenie. W ręku miał już tylko strzały na ptaki, których tępe zakończenia nie mogły drapieżnikowi zrobić najmniejszej krzywdy. Odrzucił je tedy jako nieużyteczne i schwycił za prymitywny sztylet z wyostrzonej na kamieniu kości małpy. Z tem to jedynie orężem w ręku znalazł się oko w oko z Rudą, z pumą. Nie mogło tu pomóc ukrywanie się, ani ucieczka. Przed okiem i sprężystemi nogami lwa amerykańskiego nie uchroni się żadne stworzenie. Wiedział o tem Irichaneki, więc też wyskoczył z za lauru i złożywszy usta, wydał donośny okrzyk swego plemienia.

— Yhyyy!...

Drapieżnik zatrzymał się. Może rzadko słyszany głos, a może niespodziewany widok bronzowego człowieka zadziwił go. Trwało to jednak sekundę. Już w chwilę później rozległo się wściekłe miauczenie i rozdrażniony zwierz runął na stojącego, jak kamienna statua, Indjanina.

Wprawdzie udało się pumie przewrócić człowieka na ziemię, ale człowiekowi udało się w międzyczasie wbić pumie w pierś sztylet z małpiej kości. Buchnęła z otwartej rany posoka i zmieszała się z krwią ludzką. Irichaneki ściskał jedną ręką gardło zwierza, a drugą zadawał straszliwe ciosy sztyletem. Bił gdzie popadło. Ale i zwierz nie pozostawał dłużny. Jego ostre pazury ryły głębokie brózdy na udach i brzuchu nieszczęsnego myśliwca. I puma i dziki człowiek rozumieli, że jedna chwila nieuwagi, a bój na leśnej polanie stanie się już ostatnim bojem. Zwierz walczył w milczeniu, sapiąc jeno i pomiaukując, człowiek natomiast ryczał donośnie, jakby spodziewając się, że ktoś głos usłyszy i na pomoc przybieży. Nikt jednak na pomoc nie spieszył. Dżungla stała obojętna, surowa. Objęła ją już w swoje ramiona przedwieczorna cisza. A jej mieszkańcy — czworonogie zwierzęta i dwunogie ptactwo, przyczaili się w swych kryjówkach, przerażeni odgłosami walki dwóch mocarzów lasu: człowieka i lwa.

Strzały Irichaneka, a także i ciosy sztyletem zrobiły jednak swoje. Puma poczęła słabnąć. Już coraz łatwiej było Indjaninowi odsuwać jej groźną, najeżoną wielkiemi zębiskami mordę, coraz słabiej darły mu ciało pazury...

Irichaneki zrozumiał, że zwyciężył. Ogarnęła go nagle niepohamowana radość. Uderzył się pięścią w szeroką pierś, przywykłą do swobodnego oddechu, kopnął cielsko konającego zwierza, i zawył pieśń zwycięstwa.

M. B. Lepecki

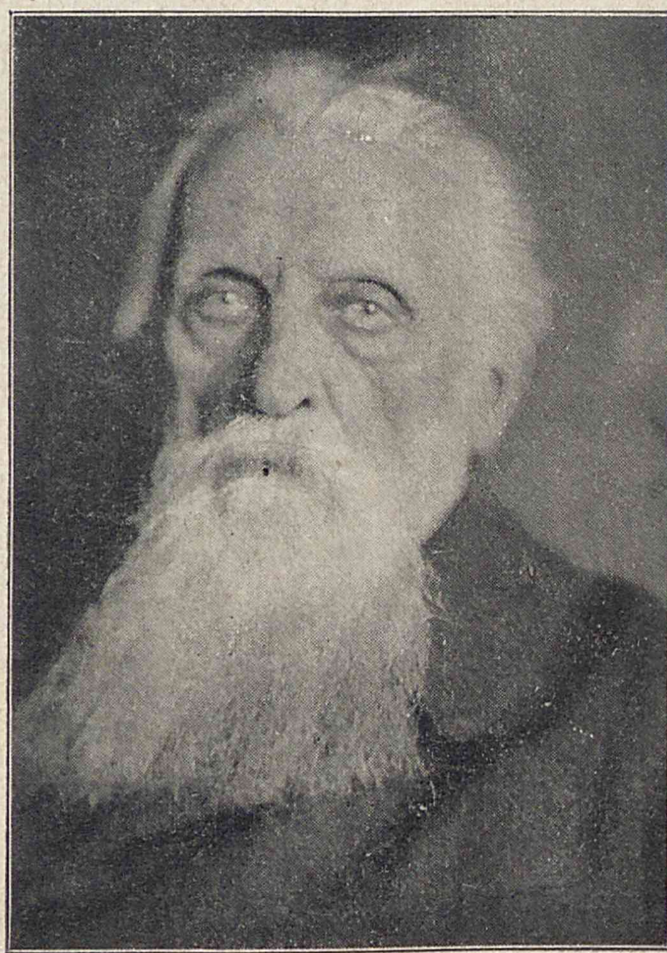
SŁOWA Z NAD RUBIEŻY...

Patrjarchą piśmiennictwa polskiego jest Aleksander Świętochowski. Może on z chlubą spojrzeć wstecz na swoją pracę. Jemu zawdzięczamy, że nasza mentalność nastrojona jest na nowoczesne metody myślenia, ujmowania życia. Nazwisko jego, jak sztandar, stoi na czele całej epoki naszego dorobku umysłowego. On to jest przecież wyrazicielem, siewcą i żniwiarzem pozytywizmu polskiego. Przezwyciężał wielokrotnie bezwład naszej duszy zbiorowej, drapującej się w płaszcz patetycznego frazesu, a niezdolnej do uporczywego, nowoczesnego współzawodnictwa w pracy. Uczył nas szanować trud codziennego wysiłku,— chlubę społeczeństw zachodnio-europejskich. Zagrzewał do budownictwa podwalin rzetelnej kultury narodowej. Na schyłku lat uszedł duszą do szkoły rolniczej: tu, jak w laboratorjum, miano doświadczalnie wychować zastęp ludzi, którzy by dźwignęli poziom naszego gospodarstwa i przykładem swoim promieniowali na otoczenie.

Jest to znów praca od podstaw; myśl przeobleczona w ciało. Aleksander Świętochowski tylko takiej solidnej, może nieefektownej, lecz skutecznej i ważnej dla przyszłości hołdował zasadzie. Jako indywidualista z przekonania, mimo że niósł wszystkie swe trudy dla ogółu, nigdy nie ustępował pod naporem przeciętnej opinji. W młodości był poróżniony przekonaniowo z przeciętnym obywatelem, a i dziś kontynuuje on swoje „Liberum Veto". Głos Świętochowskiego, choć nieraz wydaje się samotnym, odosobnionym i praktycznie zawieszonym w próżni, nie może nie budzić refleksji. Pochodzi od człowieka, co przeorał olbrzymią połać naszej umysłowości.

W osiemdziesiątym roku swego życia jest pisarz ten jeszcze czynny; nie zamyka się w wieży dostojeństw i zaszczytów. Stoi przy warsztacie codziennej publicystycznej pracy. Dał i powieść pt. „Nałęcze". Utwór ten niechybnie będzie przez naszą inteligencję rozchwytany. Zawarł w nim przecież słowa z nad rubieży: nie każdemu los pozwolił, by przemawiał w osiemdziesiątym roku pracowitego i zasłużonego życia do społeczeństwa. Aleksander Świętochowski i w tem wykazuje, że misja jego, jako nauczyciela i wychowawcy, pokrywa się z czynem. Powieść jego — to czyn, to nowy trud przezwyciężenia zbiorowej psychiki w kierunku ideału.

Nałęcze, jako fabuła, nie przynoszą wymyślnych przygód, powikłań, zazębień. Jest to jakgdyby kronika szlacheckiego rodu, który dzięki Piotrowi Nałęczowi stanowisko swoje społeczne wziął za misję szlachetności. Ludzie ci mogą pracować w różnych dziedzinach życia: łączy ich zawsze miłość do ziemi i poczucie wysokiej odpowiedzialności moralnej. Są oni wybrańcami naszego narodu nie przez dostojeństwa, lecz przez ofiarność.



Aleksander Świętochowski

Świecą przykładem pracy. Schodzą do innych warstw społecznych nie w celu imponowania bogactwem, lecz po to, by zadość uczynić wskazaniom naszej majowej Konstytucji: im więcej w Polsce będzie ludzi szlachetnych, uszlachconych, tem szczęśliwsza będzie nasza Ojczyzna.

W tem wskazaniu spotyka się Świętochowski z ideałem „Ksiąg Pielgrzymstwa". Jego słowa z nad rubieży wieczności padają na niewdzięczny ugór polskiej rzeczywistości: idziemy przecież w powojennym żywiołowym pędzie w innym kierunku. I dlatego sędziwy autor „Nałęczów" przestrzega:

„Najgorszym rodzajem człowieka jest cham. Tyran, okrutnik, morderca, krzywdziciel — to także chamy. Zbudujcie kościół dla sprawiedliwości, bo to jest serce Jezusowe".

I dodaje:

„Miłujcie prostaków, ale nie prostactwo... Lud jest pokładem marmuru, nie galerją posągów..."

Lapidarne te aforyzmy nie mogą nie wzruszyć, choćbyśmy nawet nie godzili się na ujęcie rzeczywistości w tak kategorycznych orzeczeniach. Pamiętajmy jednak, że słowa te pochodzą z nad rubieży i wsłuchajmy się w nie:

„Ludzkość ma do wyboru: albo być szlachtą, albo hołotą".

Powojenny nowożytnik, uzbrojony w magiczną formułę materjalizmu dziejowego, testament Piotra Nałęcza przyjmie z zażenowaniem: tak umierali wielcy nasi karmazynowie, twórcy Polski szlacheckiej. Czyżby to był ostatni głos tej dawnej, przedrozbiorowej ojczyzny na progu nowej, mocarstwowej, o której Świętochowski pisze:

„Rozdęliśmy wskrzeszoną Polskę w wielkie mocarstwo". A cóż to za mocarstwo, w którem zbiera się groszową kwestą fundusz na samoloty i w którem po uzyskaniu przystępu do morza ani jeden człowiek nie ma własnego okrętu..."

„Nałęcze" dla tych błysków myśli, prześwietlających naszą rzeczywistość, są utworem płodnym i zapładniającym. Przeciętny czytelnik znajdzie też sympatyczną rozgrywkę miłosną: Andrzej Nałęcz, założyciel bursy dla dzieci utalentowanych z proletarjatu, poślubi pannę Zorzecką, nauczycielkę, a urocza Maryla, pociecha sędziwego Piotra, najdroższa córka, wyjdzie za mąż za Szymona, syna kucharki. Będą to związki ludzi szlachetnych z krwi, ofiarności, dobroci, samozaparcia. W nich jest przyszłość ojczyzny.

Powieść A. Świętochowskiego nie jest lekturą rozrywkową, choć czyta się zajmująco i łatwo. Pokazał w niej sędziwy pisarz kunszt swój prozatorski. Tak jasno, mocno związanych zdań a pełnych ekspresji i polotu dawno nie czytaliśmy. Młodzież nasza literacka niech tę powieść weźmie do ręki z nabożeństwem i postara się, by nie zaprzepaścić dorobku sztuki naszej prozatorskiej. Któż bowiem poza Sienkiewiczem, Żeromskim, Prusem i Reymontem może się poszczycić taką klarownością polszczyzny, wiązanej w czarodziejskie girlandy zdań prostych a pełnych barwy, zapachu i wibracji życia!

„Nałęcze" Aleksandra Świętochowskiego wniosły w nasze życie kulturalne wartości, godne refleksji, uwagi, zadumy. Kryją w sobie słowa z nad rubieży.

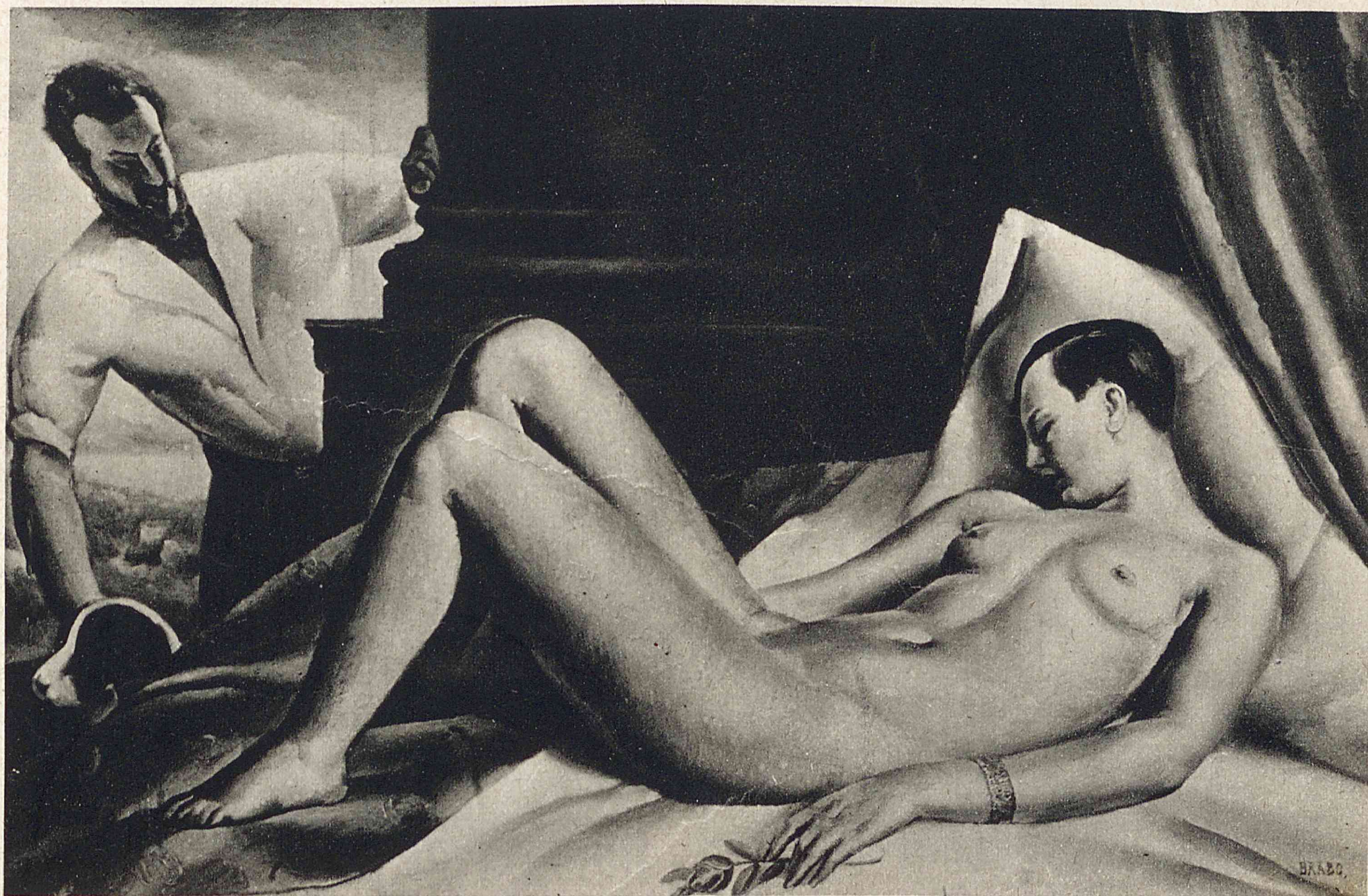
Eustachy Czekalski



Strumyk Sabiński. *Albert Bernard.*



Akt. *Albert Bernard.*

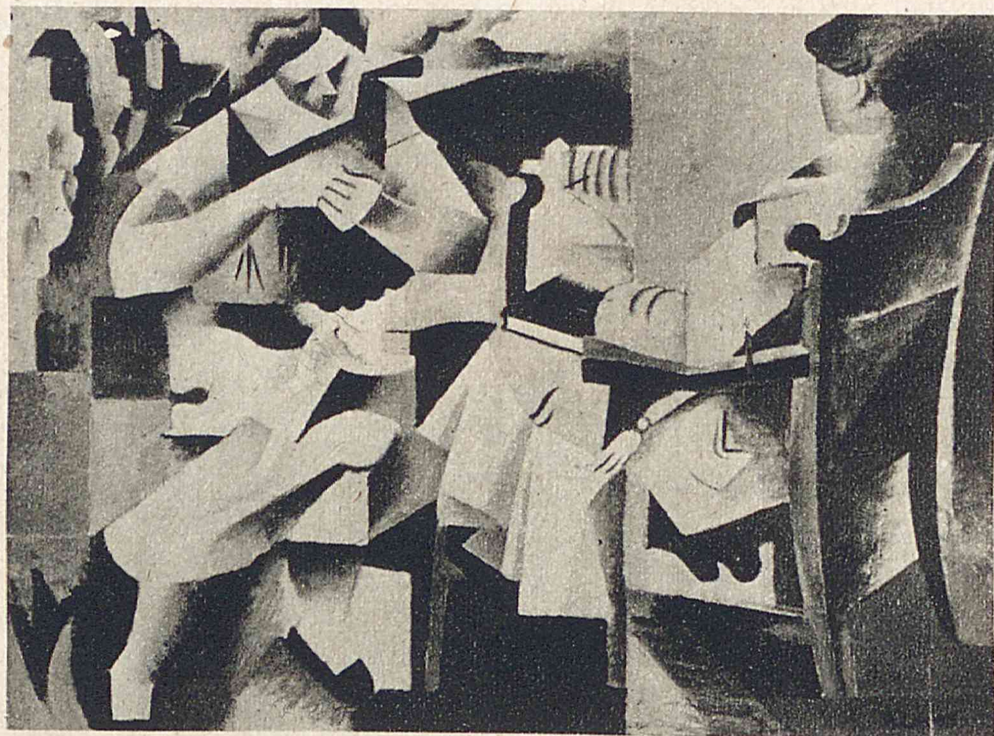


Antiope. *Albert Brabo.*

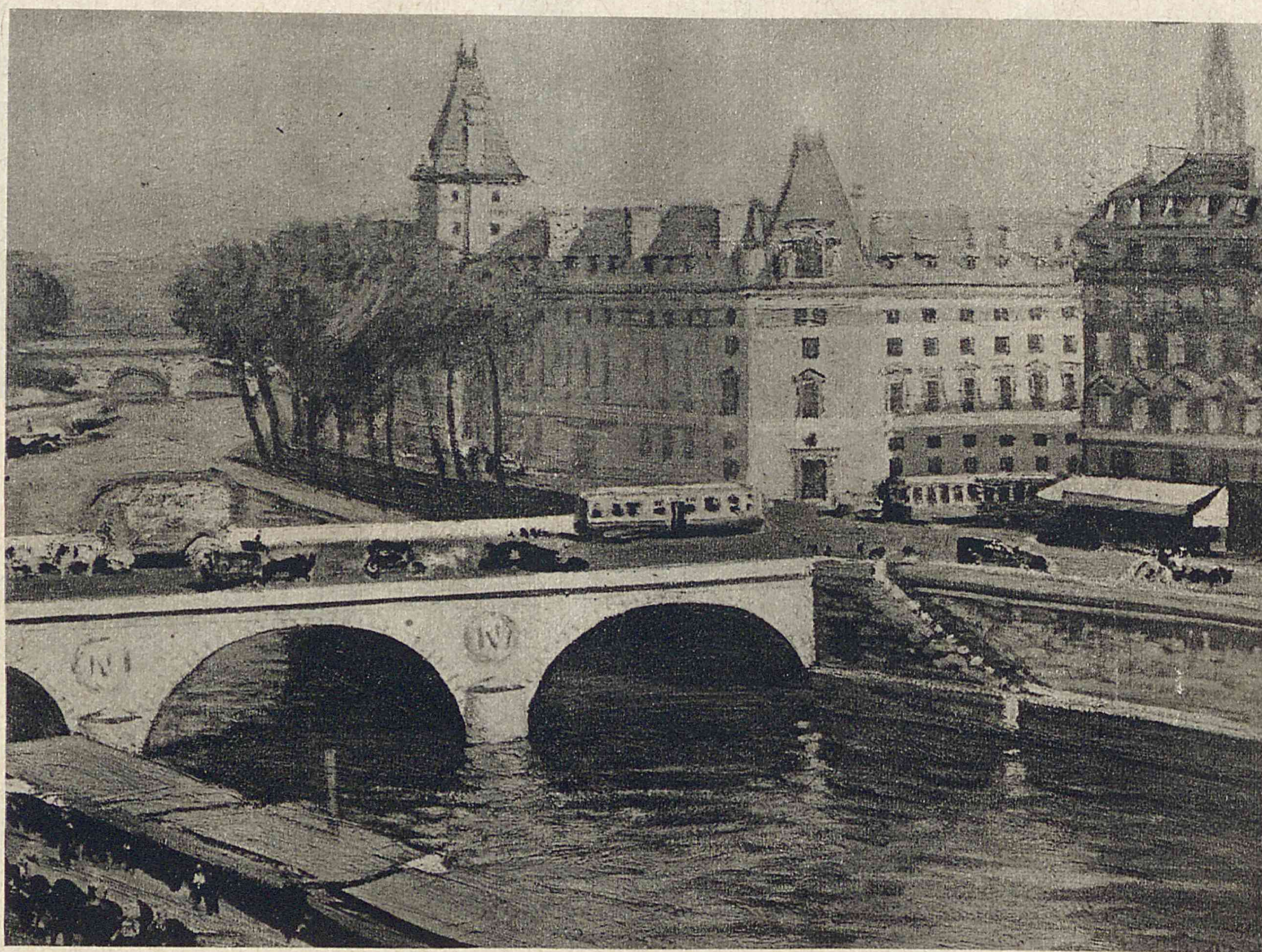
Wystawa reprezentacyjna Sztuki francuskiej w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.



Dzieci. *Szymon Dufrêne.*



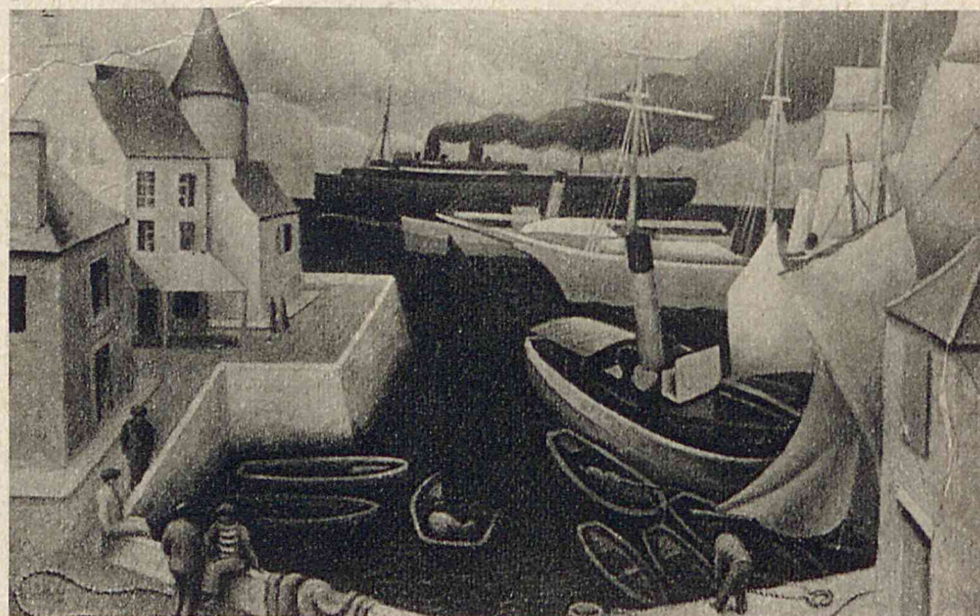
Wakacje. *Andrée Lhote*



Most św. Michała. *J. Flandrin.*



Krowy. *J. Flandrin.*



Port. *Jean Metzinger.*

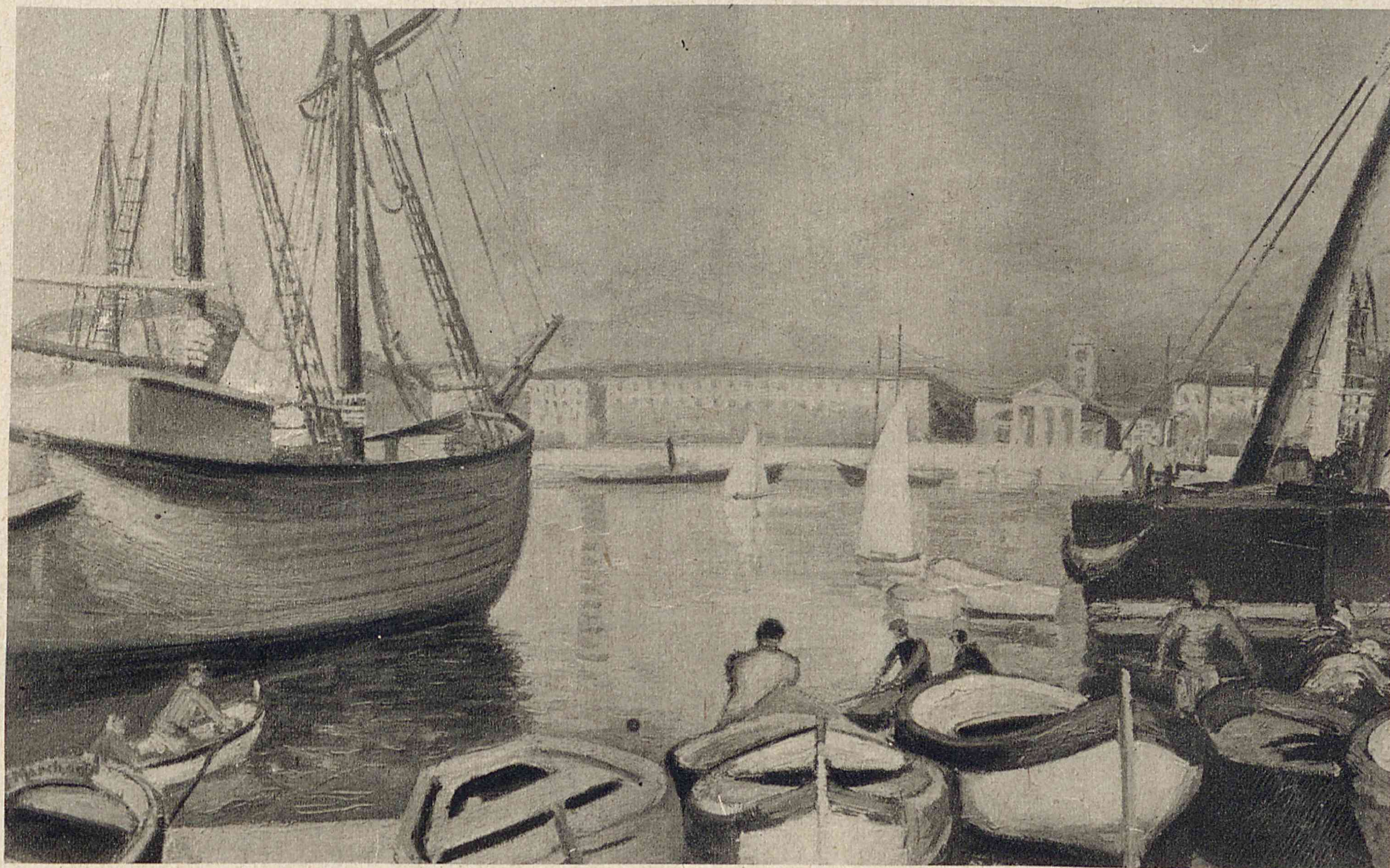
Wystawa reprezentacyjna Sztuki francuskiej Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.



Różowa suknia. *Van Dongen.*



Biała dama. *Marval.*



Pejzaż. *Jean Marchand.*



Suknia wieczorowa z gazy granatowej, długi szal lekko zarzucony. Nowa linja zmarszczenia w talji. Model B. Herse.

Miejskie Zakłady Graficzne, Warszawa, Miodowa 23.

KILKA SŁÓW O MAŁŻEŃSTWIE

Małżeństwo dzisiaj jest równie niemodne, jak prawdziwa biżuterja, niemniej tak, jak prawdziwa biżuterja jest ono przez kobiety w dalszym ciągu pożądane, cenione i mile widziane. Niema kobiety, którąby się nie ucieszyła, gdy jej uprzejmy chiromanta powie, że się rozwiedzie i wyjdzie drugi raz zamąż. Każda panna bez względu na wiek i stanowisko, gdy jej kabalarka wywróży małżeństwo, powie po skończonej kabale:

— Nie dziękuję, bo jeszcze kabała gotowa się nie sprawdzić.

Dla kobiet małżeństwo posiada zawsze nieodparty urok, nawet gdy kandydatem do małżeństwa jest pan starszy, bogaty w dzieci, wdowiec, łysy i zadziwiająco nudny.

Niema się czemu dziwić; osobnik płci żeńskiej ciągnie o wiele większe beneficja z małżeńskiego stanu, niż mężczyzna. Mężczyzna naprawdę pracuje, kobieta zaś prowadzi dom, a czasem dziecko za rękę na spacer i robi z tego pracę nad siły. Mąż, to „dziewczę to wszystkiego", oddaje żonie drobne ale nieocenione przysługi cały dzień. Przedewszystkiem ciągle coś płaci „wykłada pieniądze z własnej kieszeni", jak mówią „cudzoziemcy". W balowych szatach żona zasiada wygodnie na fotelu i pasuje na służącego męża, który klęcząc przed nią, zapina jej pobożnie kalosze, potem, wciąż rozmawiając z kimś innym, odwraca się do niego tyłem, co ma oznaczać, że mąż ma jej włożyć futro, poczem wymaga się już tylko od niego, żeby miał drobne na dorożkę. Tańców „wyskokowych" nie musi mąż koniecznie umieć, i tak ktoś inny będzie zawsze lepiej tańczył od niego Podczas gdy żona cudnie się przelewa i wykręca w tańcu, mąż powinien usiąść spokojnie do bridża i wygrać na najlepsze jedwabne pończochy dla swojej tańczącej. połowy.

Najpotrzebniesjzy jest każdy mąż w podróży, robi się wtedy nieoceniony, nawet, gdy jest naogół przykrego charakteru. On płaci taxi (czynność kosztowna i nudna), on kupuje bilety, on wynajduje wolny przedział, on płaci tragarza, rachuje kuferki i mówi: „Uff" — bo nawet w tem westchnieniu nie zastąpi go żona, która już od dłuższej chwili zajęta jest poważnie swoją twarzą. Gdy żona zestarzeje się, a jej dostojna linja zamieni się w komplex „Babich gór" i „Kop Królowej", małżonek w dalszym ciągu ubiera ją i hoduje, jak domowego bożka, bojąc jej się przytem i uważając, by jej niczem nie drażnić, bo bożek ten zwykle bywa apodyktyczny i wymagający. Niema co dłużej taić, jedynym sposobem dla kobiety, żeby być przez mężczyznę utrzymywaną na starość — jest małżeństwo, dlatego też kobiety nigdy nie będą przeciwne tej mądrej instytucji. Panowie bardzo często żenią się z miłości, czasem nawet kilkoletniej, żeby módz nareszcie przestać myśleć o objekcie swojego długiego afektu i spać spokojnie. Każdy inteligentny mężczyzna podświadomie wie doskonale, że miłość przeszkadza mu w pracy, i że małżeństwo momentalnie utrze nosa wielkiemu uczuciu. Bo tam, gdzie mieszka patelnia, brytwanna, ruszt, smoczek, miotła, tęga kuchara i domowe rachunki, stamtąd to „cygańskie dziecię" — miłość, ucieka, kładąc uszy po sobie do kwitnących parków, do bzów i gruchających żab. Jest kilka dobrych i kochających się małżeństw na świecie, ale i te, gdy goście odejdą, napewno kłócą się ze sobą, urozmaicając sobie w ten sposób wspólne życie.

— Chodźmy dziś na dancing — mówi młoda, szczęśliwa żona, do zakochanego w niej męża. — Takie nudy. Szkoda wieczoru.

— Dobrze, dobrze, chodźmy! — natrząsa się z ironją szczęśliwy pan. — Z tobą pójdę wszędzie, gdzie zechcesz. Jeszcze jedna noc nieprzespana, ale mniejsza z tem. Pięćset złotych wyrzucimy na nic, ale to głupstwo wobec tego, że ty musisz się bawić...

Szczęśliwa żona zaczyna odrazu, jak podrażniony perłopław, fabrykować perły łez.

— Dobrze, więc nie idźmy nigdzie, jak mają być takie awantury. — Pewnie spanie ważniejsze! Boże, Boże, zabierz mnie stąd... — etc.

— Rób, co chcesz!—wybucha zakochany mąż. — Tylko nie jęcz, tylko nie jęcz, kobieto...

Tak mniej więcej przedstawia się obraz dobranego i szczęśliwego małżeństwa, w którym nikt nikogo nie zdradza, a dwoje różowych dzieci śpi spokojnie w dwóch białych łóżkach. Małżeństwa, które się nawzajem nieznoszą, wogóle do siebie nie mówią. Małżeństwo prowadzi zwykle do dwóch rzeczy: do dzieci i do rozwodu. Rozwód w ostatnich czasach zbanalizował się niemożliwie i prawdopodobnie wyjdzie niedługo z mody, albo też pozostanie długo modny, jak jumper; tego nie można przewidzieć. Gdyby do zawierania ślubów były wprowadzone takie trudności, jak do uzyskania kościelnego rozwodu, to napewno rozwodów byłoby o połowę mniej. Bo coś, co się z wielkim trudem i kosztem uzyska, tego się niema ochoty tak łatwo opuszczać; wie zresztą o tem dobrze każdy właściciel bardzo drogiego auta, do którego doszedł drogą pełną poświęceń. Nietylko, że go nie ma ochoty zamieniać na inny, ale ma snobizm na jego punkcie i wychwala go przed innymi automobilistami przez długie miesiące. Najwięcej rozwodów jest z tego powodu, że ludzie się pobierają, ale się nie dobierają. A jak się pannie trafi kandydat do małżeństwa duchowo do niej doskonale dobrany, to jest zwykle źle ubrany i ma rozwiązane sznurowadła. Jednem słowem, w małżeństwie jest tak samo trudno trafić na perfekcję, jak w wyborze służącej lub służącego. Taki świeżo zaślubiony mąż przypomina bardzo często nowozgodzoną kucharkę: z początku wydaje się ona perłą, niestety, już po kilku miesiącach zaczyna pić, kłócić się i straszyć, że odejdzie nazawsze.

Naogół możnaby stwierdzić, że najlepsze małżeństwa to są te, w których obie strony są finansowo dobrze sytuowane; niema wtedy nieznośnych kwaśnych wymówek o nową suknię, bez której przecież życie kobiety byłoby za ciężkie, ani ze strony żony, jak biedny wołek roboczy przegra w karty kilkadziesiąt złotych. Każdą małżeńską zdradę też łatwiej jest strawić, siedząc we własnem aucie, lub jedząc ładnie podane i wymyślne potrawy. Zabójstwa i samobójstwa z miłości zdarzają się zwykle u najuboższych ludzi. Miłość jest jedyną przyjemnością i luksem ludzi bez pieniędzy; bogaci mają tysiące innych przyjemności. Może się to wydawać paradoksem, ale niejedna żona zapomni o zdradzającym ją mężu, przymierzając najpiękniejsze modele w najlepszym magazynie mód.

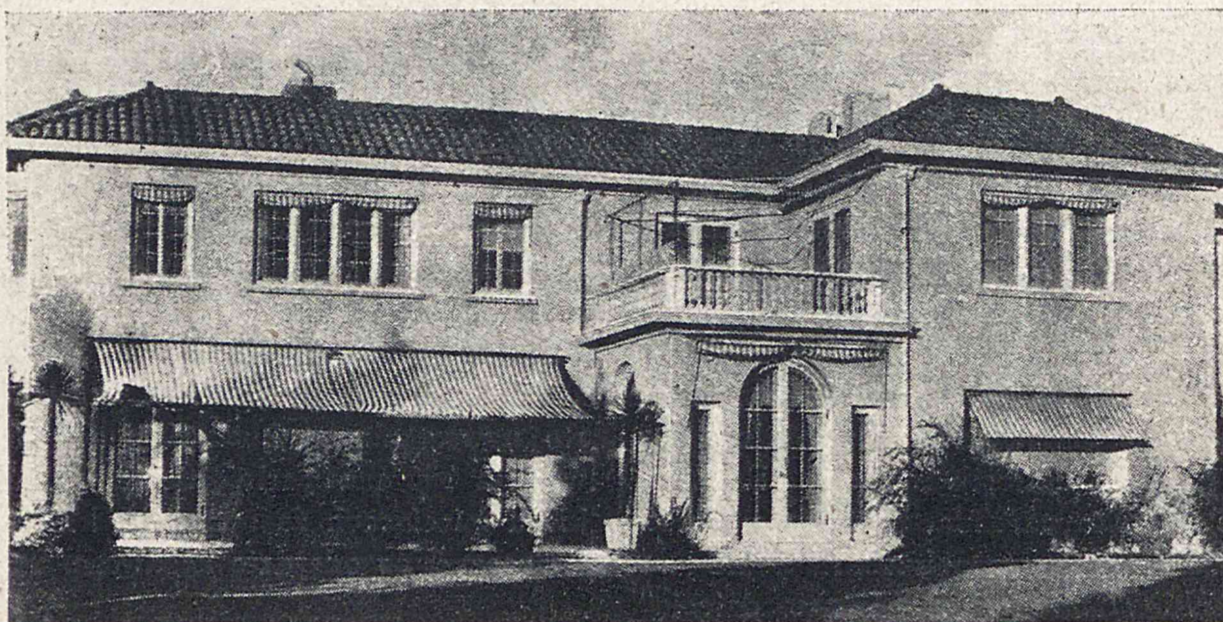
Szczęście na poddaszu nie istnieje, i o tem powinna pamiętać każda zakochana para.

Magdalena Samozwaniec

NOWY KANCLERZ AUSTRJI



ERNST STREERUWITZ, NOWOOBRANY KANCLERZ AUSTRJI. WYBÓR TEN ZAKOŃCZYŁ DŁUGO CIĄGNĄCY SIĘ KRYZYS RZĄDOWY. NOWY KANCLERZ NALEŻY DO STRONNICTWA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO



Willa Charlie Chaplina w Hollywood

W HOLLYWOOD

Charlie Chaplin przy pracy i w życiu prywatnem.

Zaiste, w dobie obecnej mało jest ludzi, posiadających tak wszechświatową popularność, jak Charlie Chaplin. Niema zakątka ziemi, gdzieby to nazwisko, wydrukowane dużemi literami na wielkim afiszu, nie zatrzymywało przechodnia, nie wywoływało radosnego uśmiechu. Sławę wszechświatową, sięgającą do wnętrza Afryki, do małych miasteczek nad Amazonką i do portowych dziur Polinezji, stworzył dopiero film!

Chaplin rozumie znaczenie i wagę tego rozgłosu wszechświatowego, ale szczęśliwym, naprawdę szczęśliwym czuje się tylko w Hollywood i przy pracy. Tutaj posiada swoje ukochane studio, swoich przyjaciół, swoich współpracowników. Tutaj szuka dla swych obrazów nowych efektów, dla postaci, które odtwarza, —głębszych akcentów. Chaplin jest bardzo bogaty, mógłby żyć w olśniewającym zbytku. Jego potrzeby są jednak stosunkowo skromne. Posiada dużą posiadłość na wzgórzach Beverly Hills. Od zewnątrz zabudowania te nie czynią wrażenia. Przeciwnie, wywołują rozczarowanie.

— Tutaj mieszka Charlot!...

Rezydencje Mix'a, Veaton'a i Gilbert'a są znacznie wspanialsze. Ale Charlot nie jest domatorem. Do swoich pieleszy wraca tylko na spoczynek. Dzień cały spędza poza domem, — w studio. Tam spożywa *lunch*. Wieczorny posiłek spożywa u przyjaciół lub w restauracji. Wogóle stara się nie zwracać na siebie uwagi, a że „w cywilu" jest mały i niepozorny, udaje mu się to z łatwością. Zresztą w dzień i w nocy wydaje się całkowicie pochłonięty obrazem, który w danej chwili „kręci". Oto artysta, zamiłowany w swem rzemiośle! W swoim żywiole czuje się tylko w studio, przy pracy, w szczupłem gronie dobranych aktorów i pomocników. Chaplin zjawia się tu codziennie już o 8-ej rano. Wpada do garderoby, szminkuje się spiesznie. Nagle przypomina sobie coś. Każe wołać dyrektora administracyjnego Crockera.

— Potrzebuję za godzinę dwunastu białych królików.

Crocker patrzy na niego osłupiałym wzrokiem.

— Rozumiesz... Gdy podchodzę do stołu prestidigitatorskiego, tuzin białych królików wybiega jeden za drugim... To będzie bardzo zabawne!

Crocker przesuwa palcami po włosach.

— Ale gdzie ja ci znajdę w ciągu godziny króliki! Ja wogóle nie wiem, gdzie się szuka królików.

Chaplin nie lubi takich odpowiedzi.

— Za godzinę muszą być...

I będą. Nie obawiajcie się, będą. W Hollywood wszystko się znajdzie, równie dobrze króliki, jak lwy, tygrysy i krokodyle.

Chaplin już wkracza do studio, umalowany, w zwykłym zbyt obszernym żakiecie, w zaszerokich, świderkowatych spodniach i wykrzywionych butach. Statyści nie mogą się wstrzymać od śmiechu. On tego nie uważa za brak szacunku. Przeciwnie. Jest rad, że zrobił efekt. Śmieje się również. I wnet obejmuje dowództwo. Gada przytem bezustannie. Usta mu się nie zamykają. Ustawia aktorów i statystów, przestawia, próbuje inaczej, wraca do pierwszej koncepcji. Wreszcie zdaje mu się, że osiągnął to, czego chce.

— Tak będzie dobrze? — pyta Crockera.

Ten odpowiada.

— Owszem, byle prędzej.

— Masz rację.

I powtarza po raz dwudziesty tę samą scenę w szybszem tempie.

O szóstej kończy się praca. Charlot wychodzi dopiero koło ósmej. Idzie na aperitif do któregoś z przyjaciół, a potem bawi się w mniej lub więcej licznem towarzystwie. Jest wesoły, pełen naiwnej radości życia. Lubi flirtować i błaznować. Wygrywa niesłychane



Charlie Chaplin, na ekranie



Charlie Chaplin, w życiu prywatnem

historje na fortepianie. Strzela konceptami. Potrafi rozerwać najposępniejszych karawaniarzy.

Lecz gdy Charlot znajdzie się w towarzystwie dygnitarzy oficjalnych, pretensjonalnych i nadętych, — ogarnia go smętek i apatja. Staje się milczącym.

— Nie myślałem nigdy, że ten Chaplin jest taki nudny!

Tak, bo nudny człowiek prowadzi za sobą wszędzie nudę...

Charlot w życiu intymnem jest niemniej interesujący, jak na ekranie.

Gordon

„Bouif u mego proboszcza“ w teatrze Palais Royal

Nowa komedja p. Cl. Vautel'a, napisana tym razem na spółkę z p. de la Fouchardiere — jest wzorem jedynego w swoim rodzaju auto - plagjatu. Autor zrabował samego siebie, a raczej swego słynnego „ Proboszcza wśród bogaczy".

Zacny ksiądz Pellegrin znacznie się tu utemperował i nabrał grzesznego pociągu do dobrej kuchni, a paru nowobogackich, pp. Coussinet o wyższych ambicjach — zastąpili inni dorobkiewicze — „baron" Bicard (popularnie znany niegdyś, jako sprytny i wesoły pijaczyna Bouif) z swą żoną, dawną przekupką. Jak w sztuce poprzedniej, ksiądz zaopiekuje się miłością cnotliwej młodszej ich córy z akademikiem, który udaje zawodowego rumuńskiego tancerza, w kasynie jej ojca. Zamiast opactwa St. Teleme'a, ks. Pellegrin odwiedza w celach bogobojnych kasyno, gdzie zagra dwukrotnie banko w baccara. Nagromadzenie scenek bardzo względnie dowcipnych z przybyciem poczciwej kurtyzany, starszej córki Bicard'ów, kradzież brylantów, wizyta pp. Coussinet'ów, ucieczka młodej panny, spędzającej noc w szafie ściennej na plebanji, przeładowuje sztukę, nie dodając jej nic nowego.

Jest to farsa, nie nazbyt śmieszna, a pozbawiona waloru „Proboszcza wśród bogaczy", gdzie autor wprowadził był nową naprawdę sympatyczną postać prawego księdza - żołnierza. Tem niemniej wróżyć jej można długi żywot wobec popularności pierwszej sztuki Cl. Vautela. A reszty dokona świetna trupa Palais Royal z Brasseur'em niezrównanym, Duvallesem, Hasti, P. Faivre'm i paniami — J. Veniat i Gonnel na czele.

Paryż. *E. W.*

Z TEATRU POZNAŃSKIEGO



Scena z „Edukacji Bronki", komedji Stefana Krzywoszewskiego, wznowionej świeżo przez Teatr Nowy w Poznaniu. Tytułową rolę gra świetnie p. Cieszkowska, wzruszając widzów do łez. Partnerem jej jest p. Bystrzyński. Sztuka, starannie wyreżyserowana i wystawiona przez dyr. Rudkowskiego, doznała bardzo życzliwego przyjęcia

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI

S U L A M I T

Czemuś tak smutna była — o Sulamit,
jak te przy sukni czarnej, półwiędnące
dwa tulipany. Ciche — smutno lila.

Czemu na źrenic marzący aksamit,
jak białe skrzydła mrącego motyla
spływały powiek ogrody wiszące.

Sulamit cudna... Teatr. Coś na scenie
grali aktorzy. Dłonie brawo biły,
drżały rakiety śmiechu kolorowe.

A mnie się oczu zadumane cienie,
senne, głębokie — ciepłe i liljowe
i Twoje usta purpurowe śniły.

I taki bliski — choć taki daleki,
pieściłem źrenic wilgotny aksamit,
i po przez ludzi — po przez krzeseł rzędy

Pytałem cicho: — czy wiesz, że przez wieki
o Tobie śniłem czarowne legendy,
Sulamit moja —
Czy słyszysz Sulamit...

TWÓRCZY REŻYSER

Wyobraźmy sobie, że Jonatan Swift, Courteline, czy Makuszyński, słowem, że jeden z pisarzy, posiadających boski dar komicznego na świat, dolę i niedolę ludzką, spojrzenia, napisał parodję *Otella*. Byłaby to rzecz niezmiernie wesoła, na której przedstawieniu zaśmiewalibyśmy się do łez. Oczywiście, pod warunkiem, że jej nie inscenizował p. Leon Schiller. Bo p. Leon Schiller, jako reformator teatru i reżyser twórczy, potraktowałby parodję *Otella* jako poważny dramat, pogłębiłby ten dramat przez ponure wkładki, obfity akompanjament muzyczny, rytmiczne ruchy tłumu i „konstruktywne" dekoracje, i z komicznej parodji *Otella* uczyniłby widowisko zagmatwane, pozbawione akcji, ciężkie, nudne, koszmarne.

Tak właśnie postąpił p. Schiller z parodją opery włoskiej, z *Operą za trzy grosze*, wystawioną ostatnio w największym teatrze eksperymentalnym polskim za pieniądze najszczodrobliwszego mecenasa sztuki scenicznej, p. Arnolda Szyfmana, który, mimo że się nie godzi na przeciwteatralną koncepcję teatru p. Schillera, pozwala mu z wielkopańską kurtuazją i z tołstojowskiem „niesprzeciwianiem się złu", na produkowanie w Teatrze Polskim scenicznych nonsensów, wykazujących publicznie z nieodpartą oczywistością, że tak zwany „reżyser twórczy" jest potwornością.

Bo co to jest „reżyser twórczy"?

Jest to taki reżyser, który sztukę, napisaną przez autora, uważa za nieobowiązujący pretekst do swojej samodzielnej działalności scenicznej. Reżyser twórczy może dorobić nowy początek *Hamleta*, mówiąc: „Ja tak widzę *Hamleta*. Kurtyna idzie w górę, na scenie obraca się ogromna karuzela, na której jedzie król, królowa, Ofelja, Laertes, Polonjusz, Horacy, Fortimbras. Ukazuje się duch zmarłego monarchy. Karuzela zaczyna wirować coraz prędzej. Wicher, pioruny, noc, wszystko ginie w ciemnościach. To jest synteza *Hamleta*".

Przed kilku laty widzieliśmy w Warszawie Fredrowską *Zemstę*, której twórczy reżyser kazał się zaczynać od... mszy świętej. Autentyczne! Ten sam twórczy reżyser gra w Teatrze Narodowym *Księcia niezłomnego* bez jednej pauzy, bez jednego spuszczenia kurtyny, mimo że akcja tego dramatu toczy się w różnych miejscach i na przestrzeni kilku lat. Spektator doznaje wrażenia, że od spożycia śniadania do wieczora bohater tytułowy umarł z głodu.

Genjusz Szekspira, Calderona, Słowackiego, Fredry, Goldoniego, Wyspiańskiego, to dla „twórczego reżysera" tylko pretekst, podpórka, tyczka, odskocznia do własnych wzlotów twórczości scenicznej. Zasadą „reżysera twórczego" jest nie: wystawić sztukę właściwie, czyli tak, jak jest napisana, ale: wystawić ją inaczej, niż jest napisana. Ambicją „reżysera twórczego" jest takie wystawienie sztuki, żeby jej nie można było poznać. Jeżeli zdumiony widz na przedstawieniu *Juljusza Cezara* przeciera oczy i szczypie się w nogę, nie wierząc własnym zmysłom, bo zamiast żywego szekspirowskiego tłumu ma przed sobą zrytmizowane manekiny, więc nachyla się do sąsiada i cicho zapytuje: „Czyśmy się nie omylili? Zdaje mi się, żeśmy przyszli do panopticum?" — to „reżyser twórczy" jest w siódmem niebie: „Przyszli na Szekspira — myśli z zadowoleniem — a oto spotkała ich wspaniała niespodzianka: zamiast Szekspira, mają mnie!".

Reżyserowi twórczemu nigdy nie przychodzi do głowy, że gdyby w analogiczny sposób „twórczy kapelmistrz" ośmielił się potraktować Beethovena w Filharmonji, toby go wygwizdano i obrzucono najbardziej zgniłemi jajami.

*

Pierwszym obowiązkiem reżysera jest wyznać się w charakterze sztuki, którą ma wystawić. Jeżeli reżyser nie potrafi odróżnić farsy od dramatu, czy parodji od tragedji, niech się nie bierze do pracy reżyserskiej. Jeżeli zaś umyślnie zechce wodewile traktować, jak dramaty, niech mu tak pojętą pracę reżyserską przerwie dyrektor teatru. Albowiem nie wolno robić kpin z literatury dramatycznej, z teatru i z publiczności. Idąc na przedstawienie *Orestei*, publiczność idzie wysłuchać tragedji, nie operetki; idąc na *Piękną Helenę*, publiczność chce słuchać operetki, nie tragedji. Reżyser, który z *Pięknej Heleny* robi dramat, a *Oresteję* wystawia „na wesoło", może się narazić na poważne przykrości ze strony publiczności, i na równie wielkie przykrości ze strony krytyki, która musi przemówić podniesionym głosem, gdy widzi, że ktoś dorzeźbia trzecie oko *Mojżeszowi* Michała Anioła, albo pogrzebowo interpretuje czarownie rozpląsane melodje Offenbachowskie.

Nasza publiczność jest cierpliwa, a nasza krytyka teatralna, w ogromnym swoim odłamie niekompetentna, udaje zachwyt dla dzikich eksperymentów naszych żałosnych Piskatorów, bowiem boi się uchodzić za niepojmującą „ducha nowoczesności" i „postępu w sztuce" — jakgdyby w dziedzinie sztuki istniał postęp, jakgdyby np. posągi z przed półtrzecia tysiąca lat były mniej sztuką, niż posągi dzisiejszych mistrzów, albo jakgdyby np. Degas był bardziej artystą, niż Leonardo z Vinci!

Ale na ostatnim „eksperymencie" p. Leona Schillera w Teatrze Polskim nasza dobrze wychowana i łagodna publiczność zaczęła jednak sarkać, a i teatralnej krytyce naszej zaczęło coś nareszcie świtać w głowie, że genjalna „postępowość" i fenomenalna „nowoczesność" koncepcji reżyserskich pana Schillera, kto wie, czy przypadkiem nie jest... nieporozumieniem.

*

Doprawdy, nasi fachowi krytycy teatralni (większość, większość, nie wszyscy!) są znawcami sceny mocno roztargnionymi, skoro dotąd nie spostrzegli, iż p. Leon Schiller nie posiada kardynalnej cechy reżyserskiej: poczucia akcji. A jeżeli reżyser nie posiada poczucia akcji, nie jest reżyserem, bo esencja sztuki teatralnej to właśnie tok, akcja; teatr to akcja; sztuka dramatyczna to rodzaj literacki, którego zasadą jest akcja. Można mieć wszystkie inne atrybuty reżyserskie: wrażliwość malarską, poczucie gestu, dobry smak, zdolność widzenia typów — jeżeli się nie ma poczucia akcji, nigdy się nie będzie reżyserem.

P. Leon Schiller ma poczucie żywego obrazu. Ale żywy obraz na scenie jest rzeczą martwą. P. Leon Schiller ma poczucie ruchu, lecz ruchu zmechanizowanego, rytmicznego, wciąż tego samego, drepcącego niejako na miejscu. Ustawia grupy ludzkie, jak lalki, poczem każe im raz po raz wykonywać pewien gest. To nie jest akcja. Akcja dramatyczna jest to ruch, dążący w pewnym, ściśle określonym kierunku z siłą stale się wzmagającą, aż do katastrofy dramatycznej, lub komicznej. P. Leon Schiller posiada natomiast dużą zdolność zahamo-

„Panienka z Dancingu", St. Krzywoszewskiego na scenie teatru wileńskiego



Popularna, ciesząca się niezwykłem powodzeniem w Warszawie, komedja w 3-ch aktach St. Krzywoszewskiego pt. „Panienka z dancingu", na scenie teatru „Reduta" w Wilnie doznała również gorącego przyjęcia. W roli tytułowej wystąpiła gościnnie urocza p. Marja Gorczyńska, zdobywając sobie i tu oklaski. Dyrektora dancingu „Woreczka" grał z humorem znakomity aktor Antoni Fertner. Sala teatralna rozbrzmiewała śmiechem i rzęsistemi brawami.

wywania akcji. Zahamowywanie akcji w sztuce teatralnej, to jakby chwycenie teatru za gardło i duszenie go na śmierć. Tę zdolność p. Leon Schiller posiada w wysokim stopniu.

Co do strony dekoracyjnej, to p. Schiller niewolniczo naśladuje rosyjskich reformatorów teatralnych, przepadających za budowaniem bezsensownych rusztowań, aby tylko aktorzy mogli się wdrapywać jeden nad drugiego, nie wiadomo po co. Pozatem p. Schiller posługuje się obficie ruchomemi reflektorami elektrycznemi. Nie znam rzeczy obrzydliwszej w teatrze, niż reflektor, goniący za aktorem. Naokoło aktora robi się wówczas czarna jama, a wybiegająca za aktora świetlna smuga elektryczna demaskuje płaskie, jaskrawe plamy wiszącej dekoracji, lub wybebesza brudną ścianę zakulisową, umyślnie niczem nie przysłoniętą (przez reżyserskie poczucie „nowoczesności"). Te reflektory olśniły niektórych naszych awangardowych krytyków z masońskiej loży Albrechta i ci uznali w panu Schillerze twórczego człowieka teatru i wielkiego artystę. Życzę im, aby zaczęli pisać dobre sztuki i żeby te sztuki reżyserował p. Schiller.

Obawiam się jednak, że po okropnem przedstawieniu *Juljusza Cezara, Przedmieścia* i teraz po niewiarogodnie nieinteligentnej inscenizacji *Opery za trzy grosze*, dyrekcja teatralna mocno się namyśli, zanim panu Schillerowi odda na pastwę jego naiwnie abrakadabrycznej „twórczości" reżyserskiej jakąkolwiek sztukę.

Tylko, że... u nas wszystko jest możliwe. *Exemplum* pan Ryszard Ordyński. Przecież p. Ryszard Ordyński wciąż jeszcze reżyseruje! Nie w teatrze, to w kinie! A przecież p. Ryszard Ordyński tyleż ma pojęcia o reżyserji, co p. Leon Schiller.

Wacław Grubiński

DROBIAZGI TEATRALNE

ZESPÓŁ TEATRU LETNIEGO SKAZANY NA DEPORTACJĘ

Nie pomogły memorjały, starania. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uparło się, Teatr Letni uważany jest za najniebezpieczniejszy w Warszawie. Jest tyle lokalów publicznych w stolicy, kabaretów, kinematografów, z których w razie pożaru żywa noga by nie wyszła. O tych się nie mówi. Ofiarą pada Teatr Letni — i jego zespół.

Ten kaprys będzie dość kosztowny. Wynajęcie sali na kinematograf miejski będzie połączone z dużym wydatkiem. Przewidują, że wyniesie on koło miljona złotych, odnowienie Teatru Nowości pochłonie koło pół miljona (już obliczają preliminarz na 250 tys.).

Zaiste, te pieniądze będą gruntownie zmarnowane. Nie zmienią one bowiem w najmniejszej mierze faktu, że kinematograf miejski straci swój właściwy lokal i że komedja zostanie przeniesioną do lokalu zgoła niewłaściwego.

Zakon srebrnej pięcioramiennej gwiazdy

(Rozmowy towarzyskie)

— Nowy Zakon? W czasach powojennych, niesklonnych do uniesień religijnych! W Europie? Nie, to chyba mistyfikacja! A jednak taki zakon został ufundowany! Nie jest to instytucja chrześcijańska. Nie ma nic wspólnego z żadną z dotychczasowych organizacji religijnych. Pochodzi z Indji, lecz również nie należy łączyć i tego zakonu z buddyzmem... Lekko, wdzięcznie przesącza wiadomości te arcymiła pani Jana. Koło stolika jej robi się coraz ludniej. Zainteresowały się słowami pani Jany fajfujące, rozszczebiotane, często urocze, młode i starsze damy. Panowie nie opuszczają ich towarzystwa. Wchodzą więc w atmosferę wymiany zdań, jakgdyby mechanicznie.



KRISHNAMURTI

Mężczyźni naogół są mało wrażliwi na punkcie zagadnień metafizycznych. Sprawy zakonne interesują ich tylko z musu; mogą przez grzeczność dać się unieść w kraj podzwrotnikowych Indji. Gdy znajdą się jednak w towarzystwie pań — nawet wyleniały król stworzenia nie byłby sobą, gdyby nie chciał zabłysnąć inteligencją, dowcipem, wiedzą. Próżność męska jest bez granic...

Pani Jana przyjaciółki swoje znajome pcucza między łykiem likieru a kawy:

— Świat powojenny musi uledz promieniom światła, które niesie on...

— Kto?... przerywa miękko srogi salonowy lew i niezły wcale filozof - zawodowiec.

— Krishnamurti.

— Ach, znów ta teozofja...

— Właśnie, że nie teozofja...—zwycięsko odparowuje cios urocza pani Jana. Jest pan źle poinformowany.

— Radbym przez panią dostąpić zaszczytu...

— Więc, niech pan słucha. Istnieje na świecie w tej chwili wielu ludzi, wierzących, iż I. Krishnamurti jest nauczycielem. Oni to stworzyli zakon. Celem jego jest: połączenie wszystkich, którzy wierzą w obecność nauczyciela ludzkości na ziemi. Podejmują oni pracę z nim razem nad urzeczywistnieniem jego ideałów. Organizatorem naczelnym jest D. Rajagopal. Siedzibą jest miejscowość Eerde, Ommena Holandja. Oznaką zakonu jest srebrna pięcioramienna Gwiazda. Zakon ten istnieje obecnie w 49 krajach...

Panie wysłuchały tych słów z podziwem. Nowinki intelektualne, religijne są przyjemną odskocznią do spraw bardziej swoistych, intymnych. Wprowadzają w rozmowy towarzyskie wyższy ton... Srogi, salonowy lew nie był jednak tem zachwycony. Przestał być ośrodkiem zainteresowania. W lot przypomniał sobie, iż miał w ręku kilka zeszytów pisma pt. „Wiadomości Gwiazdy". Nie omieszkał więc przypuścić szturmu:

— Czytałem w sprawozdaniu z pogawędek w Eerde, i Krishnamurti wyjaśniał swoim zwolennikom, dlaczego używa tytułu „Nauczyciela Świata". Twierdził, że nazwa jest bez znaczenia. Znalazłem tam jednak takie charakterystyczne zdanie: „Prawdę osiągnął Budda, Chrystus; zdaniem mojem i ja ją osiągnąłem". Przepraszam, ale wydało mi się, że to jest młodzieńcza przechwałka. Pozatem były tam moralnie miłe aforyzmy, choć nie bez anarchistycznych tendencji...

Pani Jana spojrzała wyniośle na zawodowego filozofa, salonowego lwa.

— Pański sceptycyzm próżno się stroi w lojalność dla wierzeń europejskich. Zdanie Krishnaji może jest prawdziwe. Wydarł je pan z całości i dlatego może wyglądać dziwnie dla ludzi, którzy nie znają nauk tego mistrza.

Starsza, otyła pani, jedząca bez przerwy ciasteczka, wytrącona podniesionym cokolwiek głosem pani Jany, zagadnęła:

— Droga pani, a wogóle kto jest ten Krishnaja?

— Hindus. Lat 30 kilka. Wychowany przez szkoły, utrzymywane przez teozofów. W Indjach uważają go na równi z Ghandim za wielkiego proroka...

— A to cóż nam po nim? — ruszyła ramionami otyła starsza pani. W ząbkach znów pękło kruche ciastko... My, droga pani, przecież mamy swoich proroków, choćby np. Mickiewicza...

Pani Jana spojrzała wyniośle na tłustą, poczciwą a pewnie i dobrą kobietę: skąd jej do spraw ducha? Skąd może przyjść do niej zrozumienie dla zakonu srebrnej pięcioramiennej gwiazdy...

Tłusta, starsza kobieta naiwnie a przyjemnie, tonem gospodarskim zakończyła rozmowę:

— Żeby to choć człowiek mógł w części wypełnić to, co podaje katechizm. O, naprzykład obżarstwo. Całe życie z tem walczę, a jak zobaczę kruche ciasteczka, nie mogę wytrzymać...

Towarzystwo gruchnęło śmiechem... Wyleniały lew salonowy, zawodowy filozof, odzyskał swobodę, obrzucił wzrokiem salon. Czyżby się gotował do wiosennych podbojów?

F.—

Marja Pawlikowska

MIŁOŚĆ W NOCY

Wtem gdy się księżyc zachmurzył,
dźwiękły kroki,
od wichru prędsze — —
i w drzwiach tarasu, na piętrze,
zapaliło się światło
kontaktowej róży.

Przez szklane,
najserdeczniej otwarte podwoje,
noc patrzy wgłąb sypialni,
gdzie, w miłosnym chwycie,
ciało szczęścia,
przez ludzi rozcięte na dwoje,
zrasta się jak jaszczurka,
po wielkiej tęsknocie...

LALKĄ

Leżę dumna,
jak infantka zmarła...
Teraz wreszcie po zabawie
odpocznę...
Czyjaś ręka włos mi z głowy zdarła,
na ziemi przy mnie leżą
moje gałki oczne.
Już mnie nie całują,
nie trzęsą,
nie targają za jedwabne pukle.
Patrzę pustką oczodołów,
uwieńczonych rzęsą,
jak przystało porzuconej kukle,
wprost przed siebie,
w godziny bezradnością zalane,
i pytam się:
co to znaczy.
czyż cierpiałam za wiele, jak na
[porcelanę,
i żyć zaczynam z rozpaczy?



Narzeczona znakomitego lotnika, pułk. Lindbergha, panna Anna Morrow, córka ambasadora amerykańskiego w Meksyku



Nowa gwiazda dancingu Beyer Castizo, znakomita tancerka hiszpańska

DROBIAZGI LITERACKIE

KULTURA WSI POLSKIEJ I NAUCZANIE POWSZECHNE.

Kultura wsi polskiej jest zagadnieniem, które zdecyduje o naszej przyszłości narodowej. Znajduje się ona w ścisłej łączności z kwestją nauczania. Nad sprawą tą różnie deliberowano. Jest ona niezwykle żywotna, podstawowa. Mimo to patrzy się na nią przez pryzmat teorji, doktryn, programów partyjnych.

Władysław Grabski, b. prezes rady ministrów, minister skarbu, a przedewszystkiem człowiek, umiejący patrzeć w życie bezpośrednio, obserwujący je i oceniający rację stanu niejednego pokolenia, napisał ciekawą i mądrą książkę pt. „Kultura wsi polskiej i nauczanie powszechne". Książka ta rozwija myśli społeczne autora w kierunku przetworzenia „chłopa polskiego z konsumenta w producenta".

Nasze szkolnictwo powszechne posiada jednolity, programowy typ zarówno dla miast, jak i dla wsi; nie uwzględnia ono życiowych potrzeb, lecz dąży do abstrakcyjnego, ogólnikowego dania pewnej sumy wiadomości. Władysław Grabski jest przeciwny takiej szkole powszechnej. Chciałby z niej uczynić placówkę wychowania obywateli do żmudnej, celowej, rozumnej gospodarczej pracy. Należy temu przyklasnąć! Jest w tem zdrowe ziarno troski o naszą przyszłość.

Myśli Wł. Grabskiego nie są tylko abstrakcyjnym programem. Jest on człowiekiem czynu. W pierwszym rzędzie żąda racjonalizacji budownictwa szkół: ustawy, wydane dotychczas, były właśnie doktrynerskie. Podaje więc autor projekt ustawy, któraby dzieło realizacji urzeczywistniała.

Dyskusja nad programem szkół powszechnych nie jest tylko sprawą, obchodzącą nauczycielstwo, pedagogów, polityków. Sięgnąć ona winna głębiej: w zjawiska socjologiczne, towarzyszące i powodujące przemiany społeczne.

Szerszy ogół musi się zaciekawić uwagami w tej sprawie Wł. Grabskiego. Autor ten pisze:

„Dzisiejsza szkoła wiejska po skończeniu siedmiu klas przygotowuje do tego, by czytać wiersze i powieści, ale nie, by rozumieć najprostsze fachowe broszurki lub pisma rolnicze, nawet popularne. W tem tkwi absurd pedagogiczny dzisiejszej szkoły".

Wł. Grabski pyta więc:

„Czy produkowanie tak zwanego proletarjatu inteligencji da nam dzielniejszych uczonych, silniejszych polityków, większych artystów. Tego wcale ona nam dać nie potrafi. Ale odciągnie natomiast ten dzisiejszy kierunek najzdolniejsze jednostki od życia gospodarczego, od twórczości w dziedzinie kultury materjalnej, której nam bardzo brak, a pomnoży ilość ludzi o skłonnościach pasorzytniczych, których i tak mamy w nadmiarze".

Uwagi te wśród ludzi o głębszym podkładzie zainteresowań społecznych i kulturalnych nie mogą nie wzbudzić wymiany myśli. Przyszłość naszego narodu, przyszłość naszego państwa buduje się przecież teraz przez pracę społeczną.



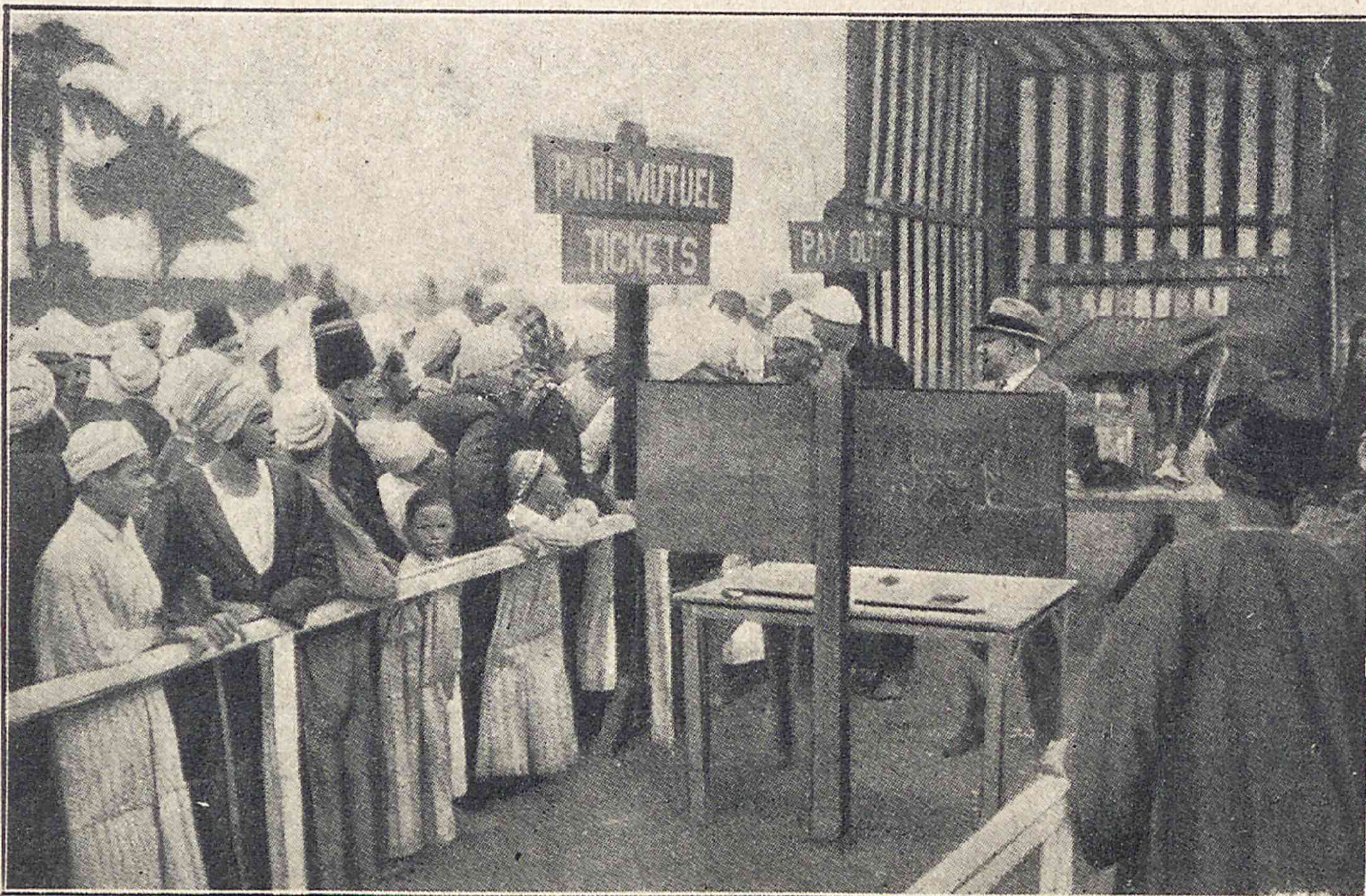
WYŚCIGI WIELBŁĄDÓW W AMERYCE

Sezon zimowy gromadzi w Egipcie elitę zamożności z całego świata. Miejscowe władze z dobrze zrozumianych względów starają się o rozrywki dla ludzi z pełnemi trzosami. Wyścigi końskie są tu praktykowane co sobotę i niedzielę, lecz tego rodzaju atrakcje mają turystów i w swoich krajach. Odbywają się tu więc wyścigi wielbłądów i osłów. Są one i dla miejcowej ludności dużą przynętą do kas totalizatora.

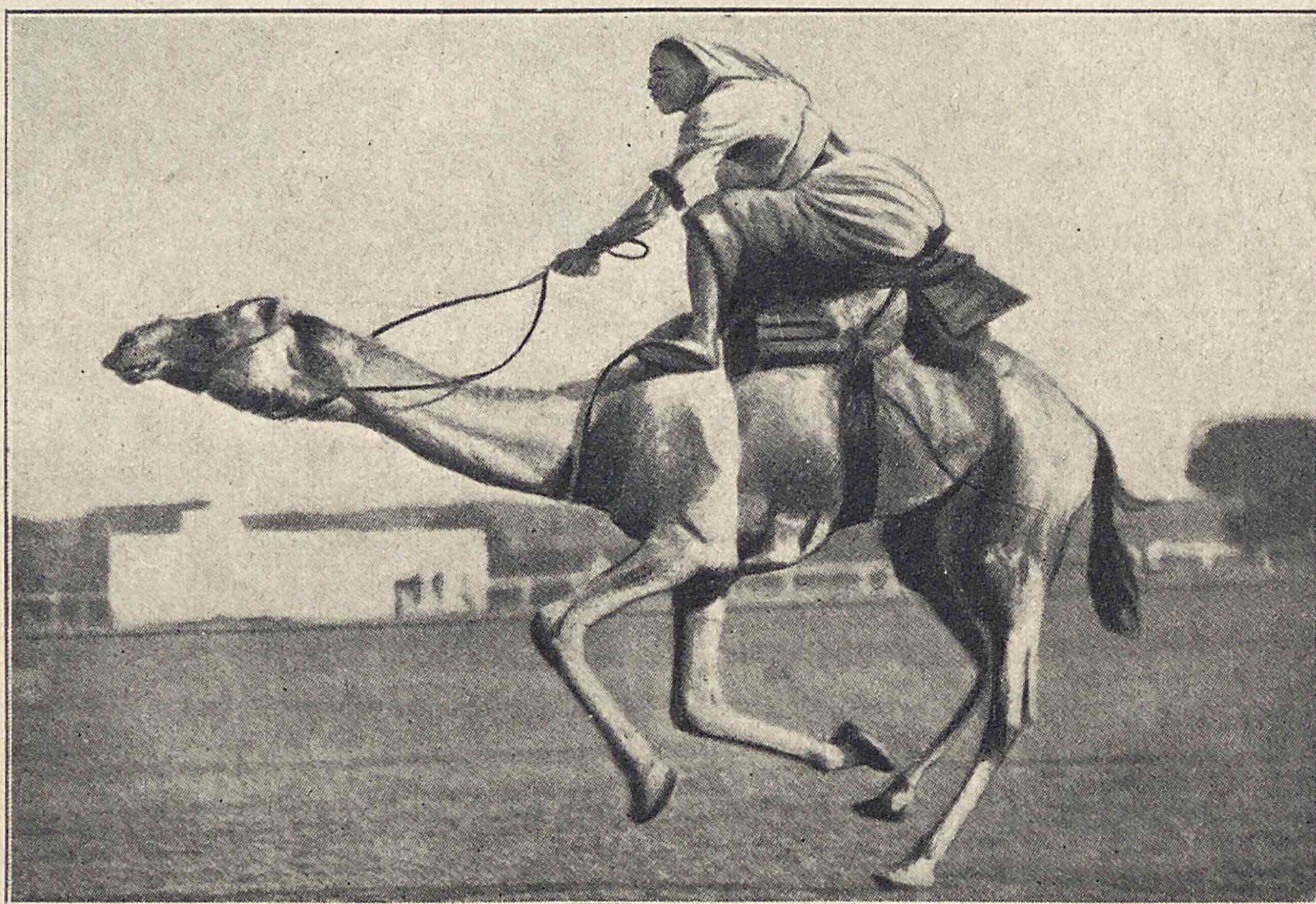
Na torach Kairu, Heliopolisu, Luksoru gra się na wielbłądy i osły, jak u nas w Warszawie na konie. Istnieją liczni bokmacherzy. Na tańsze miejsca, przeznaczone dla tubylczej ludności, przychodzą tłumnie fellahowie, arabowie, negrzy. Na trybunach dla europejczyków zjawia się też niekiedy biały, wykwintny burnus lub też uniform egipskiego oficera. O temperamencie publiczności daje jednak pojęcie dopiero ruchliwa, kolorowa masa z tańszych miejsc. Gdy zbliża się wielbłąd do finiszu, powstaje tumult, wrzask, pisk. Roznamiętnione głosy poganiają zmachanego wielbłąda; nie zawsze jest on posłuszny. Potrafi w ostatniej chwili zrobić niespodziankę.

Najbardziej złe obyczaje wykazują osły. Nie troszczą się wcale o kieszenie graczy. Poniektóry z nich nosi nawet wcale głośne imię: Lloyd Georg, Bismarck, Trocki, a na torze zachowuje się, jak ostatni kretyn. Publiczność dostaje wtedy ataku szału. Interwenjuje policja, a przydałaby się straż pożarna z hydrantami.

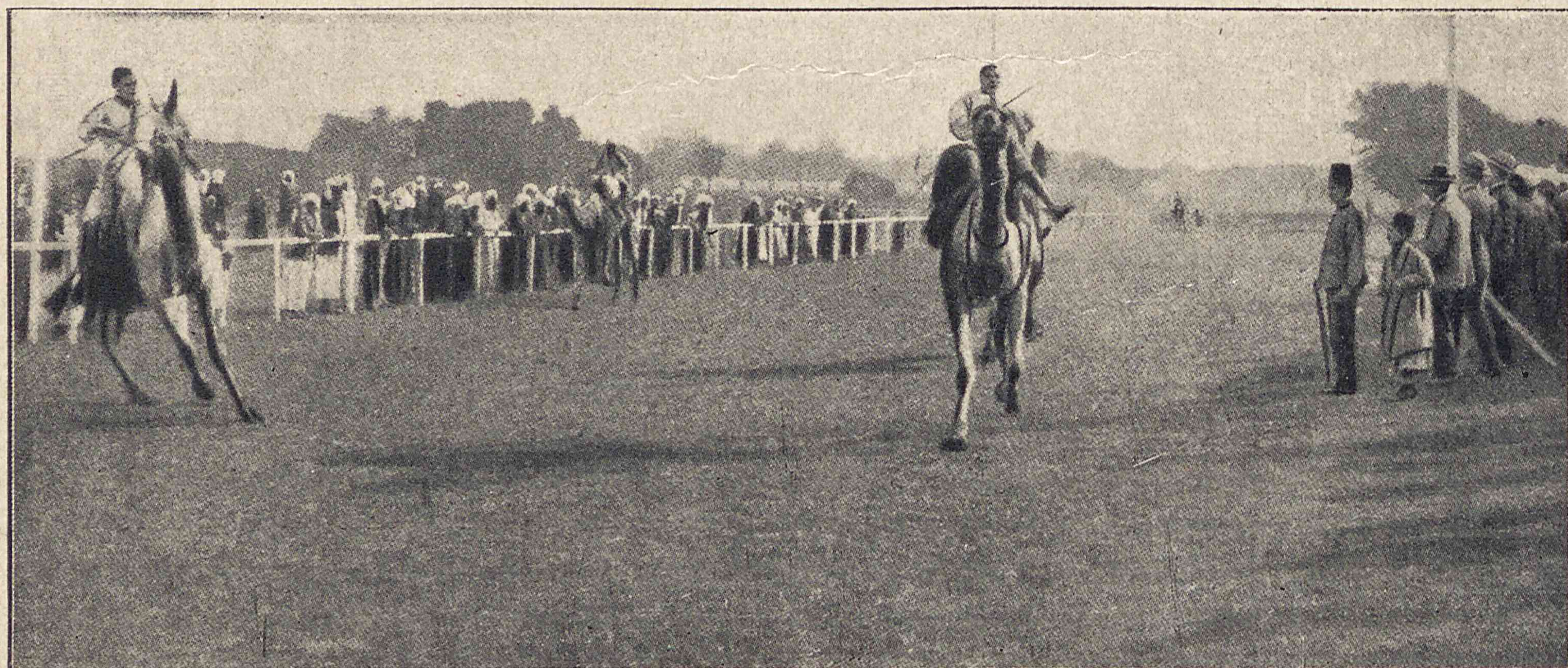
Niewiadomo też niekiedy, co jest większą atrakcją dla turystów: wyścigi wielbłądów, osłów czy też może zachowanie się kolorowego wschodniego tłumu?



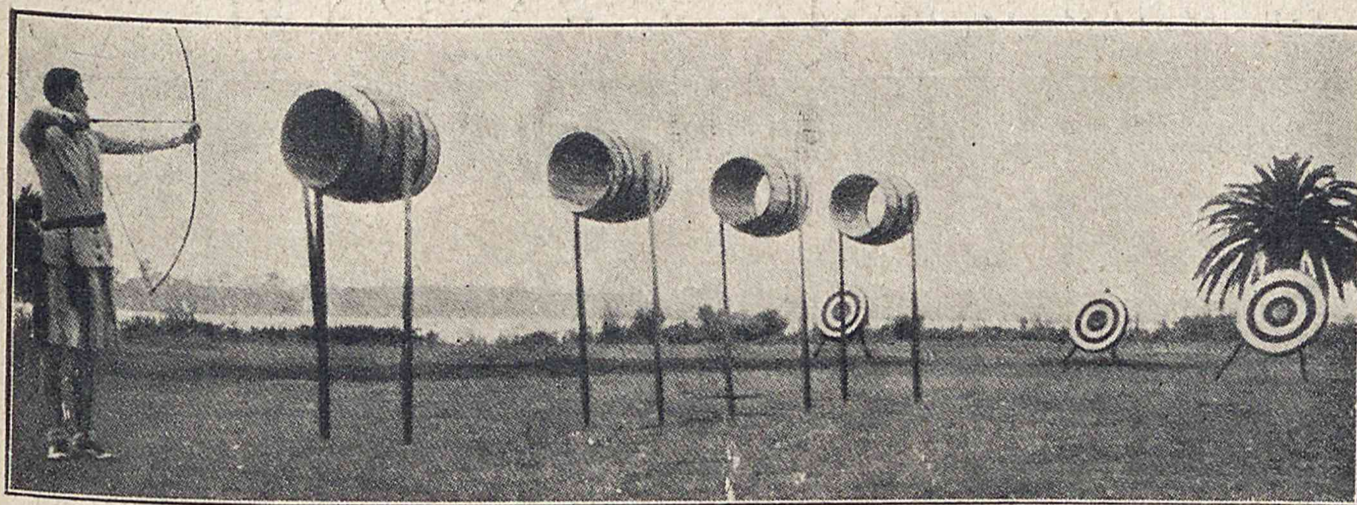
Totalizator pod gołem niebem na torze w Kairze



Wielbłąd w galopie



Uparty wielbłąd na finiszu i niespodzianka dla podnieconych graczy



Ekstrawagancje amerykańskie. Strzał z łuku do tarczy przez cztery beczki. Mistrzyni U. S. A. bardzo lubi te oryginalne sztuczki.

W ŚWIATKU SPORTOWYM

Sensacje i dziwactwa zagraniczne.

Życie sportowe na szerokim świecie pełne jest kontrastów i niespodzianek.

Sport uprawiają miljony ludzi najrozmaitszych ras, narodowości i typów.

Nic też dziwnego, że w tak olbrzymiem zbiorowisku roi się wprost od dziwactw i sensacyjnych historji.

Nierówny poziom kulturalny, zbiorowisko odmiennych od siebie typów psychicznych i charakterów podsycanych ambicją, tempem i konkurencją sportową, to arcyciekawy kalejdoskop.

Nawet sport (współczesny) nie zrobił z ludzi aniołów.

Do ideału — daleko, jak zawsze i we wszystkiem.

Zdaje się, że człowiek idealny pozostanie na zawsze w nieskończenie dalekiej abstrakcji!

Klasycznym przykładem tego jest zabawna historja międzynarodowego meczu piłkarskiego Austrja — Włochy.

Faszystowscy synowie Italji znani są ze swego chorobliwego wprost nacjonalizmu. Pamiętamy wszyscy słynny przebieg meczu z węgrami, którzy musieli w drugiej połowie uledz lirom Musoliniego, obiecanym hojną ręką jedenastce włoskiej, jeżeli niekorzystny dla siebie stan bramek zmieni na zwycięstwo.

Gracze rozjuszeni przez faszystowskiego ministra i zdopingowani wysoką nagrodą, z furją rzucili się do ataku i — wygrali!

Honor barw włoskich nie znosi przegranej. Do zwycięstwa dąży się tam teraz, nie oglądając się na metody, choćby były najjaskrawszem zaprzeczeniem ducha sportowego.

Lecz przyszła nareszcie kara. W spotkaniu z Austrją nie pomogły żadne moce ziemskie i niebiańskie.

Włochy zeszły z boiska, pokonane w stosunku 3 : 0.

Nie wskórały nic furjackie ataki faszystowskiego napadu, który wprost wychodził ze skóry, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Wspaniała technika zawodowców wiedeńskich święciła tym razem pełny tryumf.

I czy uwierzycie czytelnicy, że zwycięstwo Austrji rozpętało w prasie włoskiej prawdziwą burzę politycznych napaści na małą republikę naddunajską! Tak oto wyglądają pokojowe tendencje sportu w myśl idei olimpijskiej!...

Polityka i sport są pasją anglików. Jedno i drugie robią wyśmienicie.

Czy przyszłoby do głowy któremu z naszych ministrów chwycić za wiosła i zawiesiwszy swą ministerjalną godność na kołku, rozruszać trochę mięśnie na świeżem powietrzu?!

W Anglji jest to zupełnie naturalne. Były, a może i przyszły premjer Mac Donald uprawia z zamiłowaniem sport kajakowy, pomimo siwej głowy i podeszłego wieku.

Sport ten rozwija się szybko zagranicą w ostatnich czasach i cieszy się coraz większą popularnością.

W górzystych terenach, ledwie zimowe lody stopnieją na rwących potokach i jeziorach, narty ustępują miejsca kajakom.

Lekkie, rozbierane i łatwo przenośne łódeczki są kapitalnem urozmaiceniem wycieczek.

U nas, niestety, dopiero niedawno zabraliśmy się do organizowania tej pięknej gałęzi sportu. Wogóle jesteśmy upośledzeni w wielu rodzajach sportu.

Amerykańskie i anglosaskie narody uprawiają z pasją „polo" konne.

Bogate kluby „polo" mają wspaniałe boiska, trybuny i dziesiątki tysięcy widzów pasjonujących się wynikami „drogocennych" spotkań, bezcennych chociażby dlatego, że dobry zespół koni dla jednej drużyny kosztuje kilkaset tysięcy złotych.

Amerykanie z wszystkiego potrafią zrobić cudaczny dziwoląg. Nie darowali i arystokratycznemu „polo", wprowadzając inowację w postaci mioteł zamiast młotków do popychania kul.

Drużyny damskie rozgrywają spotkania z męskiemi. Okazało się, że panie mają większą, widocznie wrodzoną wprawę do oryginalnej gry „mietlanej" i biją swych przeciwników bezapelacyjnie.

Nawet w sporcie łuczniczym potrafili yankesi wymyśleć coś ekstrawaganckiego, popisując się strzelaniem do tarczy przez szereg beczek z pustemi dnami, ustawionych jedna za drugą.

Do czego to potrzebne i na czem polega atrakcja tego rodzaju popisów?

Że sport zdobył sobie już pełne uprawnienie zagranicą i jest dzisiaj niezbędną funkcją w życiu człowieka, świadczy o tem wyzyskiwanie tematów sportowych w grotesce i karykaturze.

W Paryżu popisuje się skokami o tyczce popularny komik — skoczek cyrkowy — Goliach. Robi to doskonale.

Tyczkarze patrzą z ponurą miną na jego wyczyny. Są daleko zabawniejsze i efektowniejsbe, a że brakuje trochę centymetrów do jakichś tam rekordów, cóż to komu szkodzi!

Skoki Goliacha potwierdzają teorję o cyrkowości wielu gałęzi sportu.

W przyszłości wiele dzisiejszych „konkurencji" oglądać będziemy na arenie, a sport przesiany przez sito użyteczności społecznej przybierze zupełnie inne formy. Będzie wtedy prawdziwym sportem bez szowinizmów, akrobatycznych efektów i teatralnych gestów.

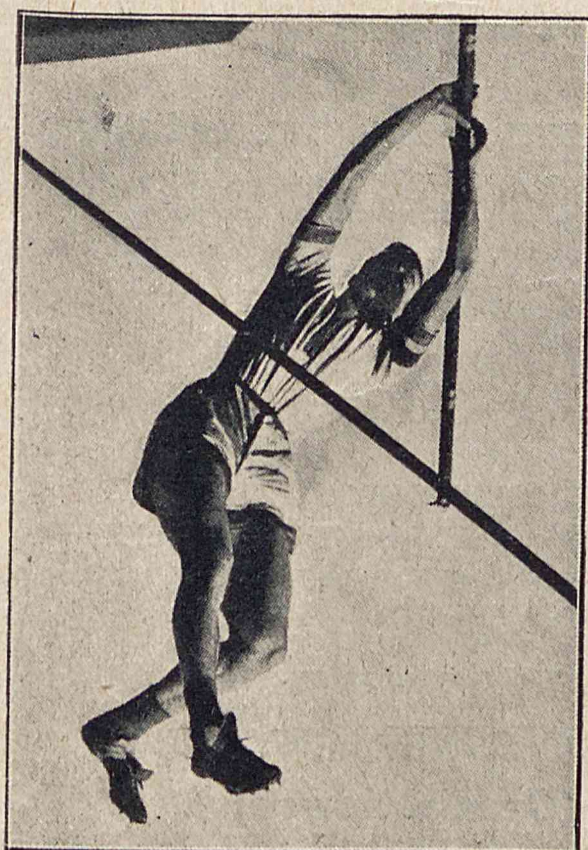
Oddając pokłon zagranicy, nie zapominajmy o naszych najbliższych sąsiadach.

Barbarzyńskie zajścia w Opolu odbiły się szerokiem echem w sporcie.

W pierwszych dniach maja miało się odbyć kilka międzypaństwowych spotkań polsko - niemieckich: mecz bokserski Katowice — Berlin, start Petkiewicza w biegu berlińskim i t. d.

Po zmasakrowaniu polskich aktorów w czasie zajść opolskich sportowcy nasi zbojkotowali kolegów niemieckich, odwołując zapowiedziany udział w zawodach.

R.

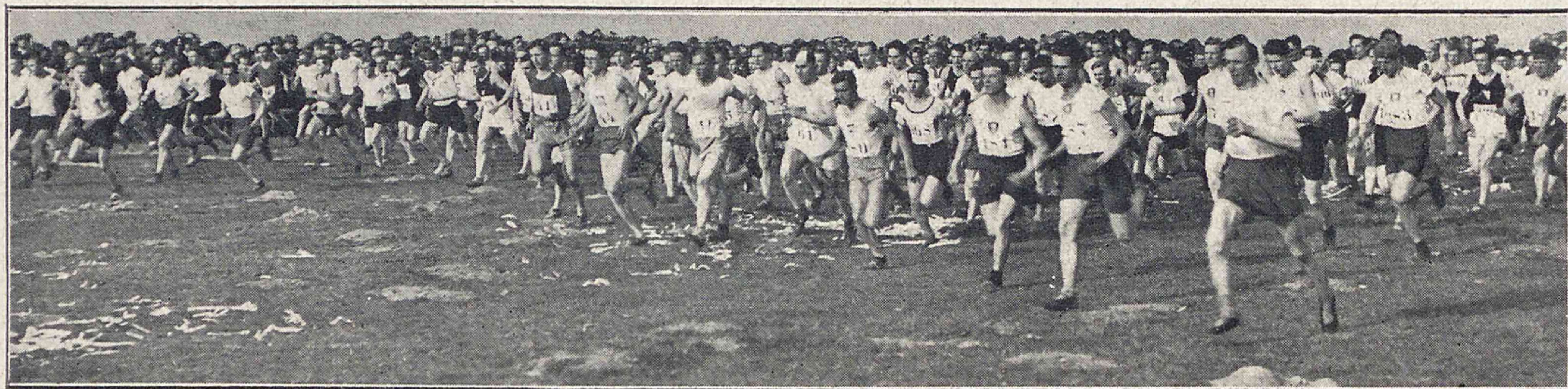


Oxfordzki lekkoatleta Mc. Gill w pięknym skoku o tyczce



Goliach, nowy popularny komik - skoczek w paryskim cyrku

BIEG NARODOWY W DNIU 3 MAJA W WARSZAWIE



BIEG NARODOWY. 234 ZAWODNIKÓW NA STARCIE — Fot. Jan Ryś

DOOKOŁA EKRANU

(Buster Keaton w „Stylowym". — „Ściśle poufne" z Eddie Cantorem i „W otwarte karty". — „Niebieska myszka".— „Wiera Mircewa" i „Ben Ali" w „Rococo". — Nowy film polski).

Dawno już publiczność warszawska nie miała sposobności oglądania na ekranie swego ulubieńca, Bustera Keatona. Jego humor, zgoła odmienny od humoru Charlie Chaplina i Harolda Lloyda, posiada tę właściwość, że bierze szturmem publiczność, rozśmieszając ją do łez w tych momentach, gdy sam Buster Keaton pozostaje spokojnym, bez uśmiechu, bez skrzywienia choćby chwilowego twarzy — nieruchomej maski. W „Sportowcu z miłości" jest Buster Keaton takim samym, jak zazwyczaj, spokojnym, o niezmąconej pogodzie ducha gentleman'em, którego niepodobna wyprowadzić z równowagi, a który natomiast pobudza do szalonej wesołości przyglądającej się jego „kawałom" publiczności.

Drugi komik amerykański, Eddie Cantor, występujący w filmie „Ściśle poufne" („Światowid"), jest humorystą drugorzędnym. Ma on swoje doskonałe truc'i, umie również rozśmieszyć publiczność, ale jest to komizm mało artystyczny, innego typu i stylu. Film przeciętny, szablonowy, nie wyróżnia się niczem specjalnie z powodzi tego rodzaju obrazów amerykańskich. Bohaterka Estera Ralston — bardzo ładna. Filmem o napięciu dramatycznem, doskonale zgranym, ale nieszczególnie zmontowanym i zbyt powolne mającym tempo, jest obraz „W otwarte karty", którego akcja rozgrywa się na tle przygód poszukiwaczy nafty w Ameryce. Ozdobą tego filmu są jego pierwszorzędni wykonawcy: Ewelina Brent i George Bancroft, których kreacje w „Ludziach podziemi" dotychczas nie zatarły się w pamięci bywalców kinowych. Tutaj mają oboje mniejsze może pole do popisu, ale i tutaj mają momenty w grze silnej i pełnej wyrazu przykuwające uwagę widza. Erdyne Brent może tylko gorzej wygląda tym razem i nie olśniewa swoją niesamowitą urodą, jak w „Ludziach podziemi".

W „Palace" wyświetlano z powodzeniem miłą komedyjkę francuską „Niebieska myszka", w której przed wojną święciła tryumfy, o ile mnie pamięć nie myli, świetna artystka Michalina Łaska.

W „Tęczy" wyświetlany jest z powodzeniem znany film „Wiera Mircewa", osnuty również na sztuce teatralnej, granej u nas z wielkiem powodzeniem w Teatrze Polskim, a w „Słońcu" — głośny obraz niemiecki „Ufy" podług scenarjusza Thei von Harbon „Metropolis". O scenarjusz ten, jak wiadomo, toczy się sensacyjny proces w Berlinie, wytoczony przez urodziwą rodaczkę naszą, p. Wandę Ursyn, artystkę filmową i teatralną, która napisała w swoim czasie i złożyła wzmiankowanej wytwórni swój scenarjusz, zatytułowany również „Metropolis" i bardzo zbliżony w treści do scenarjusza niesamowitego filmu.

W „Rococo" wyświetlano doskonale zrobiony film „Tajemnica wagonu pocztowego", niewiadomo dlaczego słabo reklamowany, który wskutek tego przeszedł prawie bez wrażenia. A przecież był to jeden z wybornie granych, pełnych ruchu, siły wyrazu, napięcia dramatycznego obrazów amerykańskich, tych właśnie, które zdobyły dla Ameryki rynek filmowy świata. Słabszym o wiele filmem jest wyświetlany tamże „Ben Ali" z Ramonem Novarro w roli tytułowej.

Tadeusz Kończyc

ŚWIAT SAMOCHODOWY

NA „BŁĘKITNEJ WSTĘDZE"

(Walka o szybkość)

Odkrywszy kosmiczno - mistyczne szybkości elektronów, atomów, jonów i innych najrozmaitszych djabłów naszej wyobraźni, będących „czemś tajemniczem" na pograniczu materji i ducha, ustanawiamy równocześnie rekordy mechanicznej szybkości.

Cóż to za mizerota w porównaniu z tamtemi wyczynami!

W kosmosie „dochodzimy" już do miljona kilometrów na sekundę. Przestrzeń tę pokrywają, mówiąc stylem sportowym, różne modne dzisiaj promienie, któremi śmieszny mózg ludzki stara się bezskutecznie wytłomaczyć t. zw. tajemnicę bytu.

Osiągnęliśmy więc dwa rekordy: miljon km. na sekundę i — 371 km. na godzinę. Oto granica naszych duchowo - materjalnych możliwości. Jestem pewien, że kiedyś, w przyszłości, będziemy przenosić się w przestrzeni systemem daleko prostszym. (Np. patent Rytarda...); wchodzę do niedużej szafki, naciskam guziczek dematerjalizuję się, zamieniam w niewidoczne promienie X, które lecą z szybkością miljona km./sek. Na drugim końcu globu, w takiej samej budce zapala się czerwone światełko, dyżurny urzędnik naciska guzik, materjalizuję się z powrotem i oto jestem w Rio. Podróż trwała śmiesznie krótki ułamek sekundy.

Tak będziemy podróżować w przyszłości.

Narazie cieszymy się rekordem majora Segrave.

Automobilizm rozwija się po wojnie z piorunującą szybkością (tylko nie u nas!) i jest obecnie najpopularniejszym sportem mechanicznym.

Podczas, gdy Niemcy np. w swoim programie automobilowym propagują przedewszystkiem turystykę, w Ameryce na pierwszym planie stoi szybkość. Dużo można zarzucić praktycznej wartości tych wyścigów, trzeba jednak przyznać, że są one wielką próbą, tak dla człowieka, jak i dla materjału, wzbogacają doświadczenie konstruktorów i mają olbrzymie znaczenie dla przemysłu samochodowego.

Cóż to za satysfakcja dla prawdziwego, rasowego kierowcy posiadanie i opanowanie maszyny, pokrywającej przeszło 300 km. na godzinę! Emocje i przeżycia tych panów są godne zazdrości.

Walka o „niebieską wstęgę automobilizmu" w Dayton rozgorzała nanowo, dzięki rywalizacji między Anglją i Ameryką.

Najwybitniejsi kierowcy obydwuch krajów prześcigają się w konstrukcjach wozów wyścigowych.

W maszynach tych najważniejszą rzeczą jest rozłożenie ciężaru.

Wspaniałe, smukłe linje nadają im kształt szrapneli, prujących powietrze.

Jakość materjału odgrywa również wielką rolę.

Jeżeli uświadomimy sobie, że wóz taki robi około 100 m. na sekundę, to jasnem jest, że przy takiej anormalnej szybkości tylko pierwszorzędne metale mogą być brane pod uwagę. O ryzykowności tego rodzaju wyścigów świadczy najlepiej wypadek świetnego amerykańskiego kierowcy, Francka Lockharta, który prowadził słynnego „Czarnego Sokoła", marki „Indianopolis".

Śmigły ten wóz, o pojemności 1.5 litra, osiągnął, jak utrzymywali fachowcy, nieprawdopodobną, niewiarygodną szybkość 370 km. na godzinę!!!

Nie uznano jej jednak mimo tragicznego zakończenia wyścigu za oficjalny rekord światowy.

Drugi amerykański wóz wyścigowy, konkurujący z angielskiemi, marki Triplex - Lieberty, osiągnął 22.4. 1928 roku rekordową szybkość 334 km.

Był to pierwszy typ tego rodzaju, zaopatrzony w trzy 12-cylindrowe motory lotnicze Lieberty t. 12 a, zastosowane do samochodu wyścigowego o sile 1200 K. M. Motory są rozłożone w ten sposób, że jeden znajduje się w przedniej części za pierwszą osią, a dwa pozostałe równolegle obok siebie przed tylną osią. Siedzenie znajduje się z lewej strony za pierwszym motorem. Angielskie barwy w walce o mistrzostwo „błękitnej wstęgi" reprezentują mjr. Segrave i kpt. Malcoln Campbell.

Posiadają oni specjalne maszyny, wykonane przez zakłady Napier w Acton pod Londynem.

Wóz Campbella 900 — 1000 K. M. jest ewolucją typu wyścigowego „Niebieskiego Ptaka" z r. 1928, z zewnętrznej formie jeszcze śmiglejszy i subtelniejszy od swego prototypu.

Specjalnie silnie wykonane są osie i kierownica. Wachlarze mają kształt eliptycznych stożków.

Wóz Segrava „Złota Strzała" projektował znany konstruktor automobilowy, Irving. Wykonały go również zakłady Napier.

„Złota Strzała" posiada motory o sile 1000 K. M., różni się jednak ogólnym kształtem od Arrolastera Campbella. Jest bardzo niska i długa. Genjalnie wyzyskano przestrzeń między osiami na chłodnice i specjalne części, zmniejszające potężny wir powietrza przy tak potwornej szybkości.

Tylna część karoserji ma kształt rybiego ogona dla utrzymania równowagi przy podskokach i szalonym pędzie.

Segrave posiada przed kierownicą lunetę myśliwską, przybliżającą teren, gdyż przy szybkości 100 m. na sekundę gołem okiem nie dostrzega się nierówności trasy i minimalnych zboczeń maszyny, będących w rzeczywistości wielkiemi odchyleniami przy tempie 370 km.

Segrave ustanowił przy drugiej próbie nowy rekord światowy 371 km.

Amerykanin Bible na wozie Triplexa usiłował 13 marca pobić rekord anglika. Próba skończyła się tragiczną katastrofą. Przy szybkości 360 km. przednie koła trafiły na wilgotną plamę na piasku, wóz zahamowało i wyrzuciło w powietrze. Pod szczątkami rozbitej maszyny, która przekoziołkowała kilka razy, zginął kierowca i fotograf jego, stojący w pobliżu fatalnego miejsca na trasie. Z maszyny został kłąb zmiętego żelastwa.

Bible rozpoczął śmiertelny bieg z szybkością 182 mil., Segrave, aby ustanowić swój rekord, musiał przejechać dwa razy wymienioną milę. Wyruszył z miejsca o pięć mil przed linją startu i wśród grobowej ciszy wielotysięcznych tłumów przeleciał przez celowniki. Pierwszą milę przejechał z szybkością 231.5 mil.

Późniejszy jego czas wynosił 15.5 s. na jedną milę i jest lepszy od rekordu Ray Keecha o 24 mile!!!

Imponujący rekord świetnego kierowcy angielskiego wynosi dokładnie — 231.362.226 mil.

Wątpliwem jest, czy kpt. Campbell będzie mógł poprawić wynik Segrava.

Podobno znalazł w poł. Afryce doskonałą trasę i ma nadzieję na tamtejszym chropowatym, gliniastym gruncie wypróbować swój wóz.

Pierwsza próba, jak wiadomo, skończyła się niepowodzeniem. Do rekordu brakowało jeszcze kilkudziesięciu mil.

Seegrave „zadowolony" jest ze swego wyniku. Wobec śmierci głównego rywala, Bibla, pewny jest, że rekord jego długo się jeszcze utrzyma i dlatego wycofuje się narazie z wyścigów samochodowych. Próby przekroczenia 400 km./godz. nie ustaną jednak napewno i „Błękitna wstęga" będzie musiała skapitulować przed wspaniałym rozwojem techniki XX wieku!

Drobne wiadomości

NAJBLIŻSZE ZAWODY AUTOMOBILOWE W POLSCE.

Sezon zawodów samochodowych rozpoczyna się u nas w tym roku z początkiem maja. Automobilklub Polski organizuje w dniu 5 maja konkurs na zużycie paliwa, który rozegrany zostanie na trasie z Warszawy do Kazimierza i z powrotem. W dniach 4 i 5 maja odbędzie się raid otwarcia sezonu, urządzany przez małopolski Klub automobilowy. 12 maja odbędzie się wyścig płaski w Łodzi, połączony ze zjazdem gwiaździstym, a w d. 19 i 20-go maja raid górski krakowskiego Klubu automobilowego.

NOWOŚĆ STYLU,

konstrukcji i wykończenia

Dzięki uwzględnieniu przez konstruktorów Oaklanda najbardziej wybrednych wymagań współczesnego automobilisty, samochód ten odznacza się piękną, harmonijnie wydłużoną karoserją, posiada potężny elastyczny 6 cylindrowy silnik i wszystkie ostatnie ulepszenia techniczne.

Zarówno w wykonaniu wewnętrznem jak i zewnętrznem Oakland nosi cechy nowości konstrukcyjnej. W mieście wyróżnia się eleganckim wyglądem, na wsi zapewnia szybką i wygodną podróż podczas najdalszych wycieczek, oraz z łatwością przebywa najcięższe drogi i wyniosłości. Przemawia więc pod każdym względem do prawdziwych znawców i miłośników sportu automobilowego.



OAKLAND

Wyrób General Motors

GENERAL MOTORS W POLSCE, WARSZAWA

Upoważnione Zastępstwa na całem terytorjum Polski i w Wolnem Mieście Gdańsku:



Naświetlanie nóg, by zachować linję i karnację.



Badanie wrażliwości temperamentu. Amerykańska metoda badania wrażliwości temperamentu, jako zabieg naukowy, ochraniający narzeczonych przed nieszczęśliwem małżeństwem. Młodzież o jednakiej wrażliwości temperamentu otrzymuje naukowe przyzwolenie na zawarcie małżeństwa. Dzieje się to w Ameryce!



Taniec wśród śniegu, jako zabieg zdrowotny znanej amerykańskiej gwiazdy teatralnej, Margaret Severn

Sądy współczesnych o gen. Kościuszce, Dąbrowskim i Kniaziewiczu

Nie odrazu zdobyli serca i powszechny posłuch trzej znakomici nasi wodzowie: Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz. — Przypomnienie, co o nich myśleli współcześni, może posłużyć za dobrą lekcję historji. Opinje te wyciągnął z lamusa prof. Aszkenazy w monografji swojej o Łukasińskim. Pochodzą one od ludzi, uchodzących w tych czasach za... patrjotów. Grupa ta informowała dyrektorjat francuski: „Naród nie jest tak ciemny, jak go sądzą, jeżeli biorą miarę stąd, że się poddał niedołężności, to jest Naczelnictwu Kościuszki".

Czytamy dalej znów o Kościuszce: „Ten człowiek tak uparty i ograniczony, stanąwszy choć na moment na czele roboty, zarazi ją zaraz najszkodliwszym chwastem, który ciężko potem wykorzenić, to jest ludźmi najgorszymi obsadzi najpierwsze miejsca, którzy rzeczy do zguby nakierują".

Dąbrowskiego „patrjoci" nazywają bez ogródek „zdrajcą" „łajdakiem". Uważano go zresztą nie za polaka. Stale wyrzucano mu, że był... sasem. Gen. Kniaziewicz, według zdania współczesnych... „wędzi swoje laury w Paryżu, kiedy inni nowych na polu bitwy zdobywają. Ten pan oburzył wszystkich despotycznym tonem". Według tych informatorów „Dąbrowski był to intrygant uzbrojony tylko hipokryzją i bezczelnością bez żadnych realnych talentów, wsparty wspólnictwem kilku politycznych oszustów".

W archiwach francuskich Dyrektorjatu i Cesarstwa przechowują się do dziś te smutne pamiątki. Są one, a przynajmniej powinny być lekcją historji dla pokolenia naszego.

Wychodzący w Zagrzebiu jeden z najpoważniejszych organów prasy chorwackiej „dziennik Novosti" — drukuje obecnie w tłomaczeniu Juljusza Benesic'a powieść Stefana Kiedrzyńskiego pt. „Żona i nie żona". — W przekładzie powieść ta nosi tytuł „Paklewska žena" (żona piekielna).

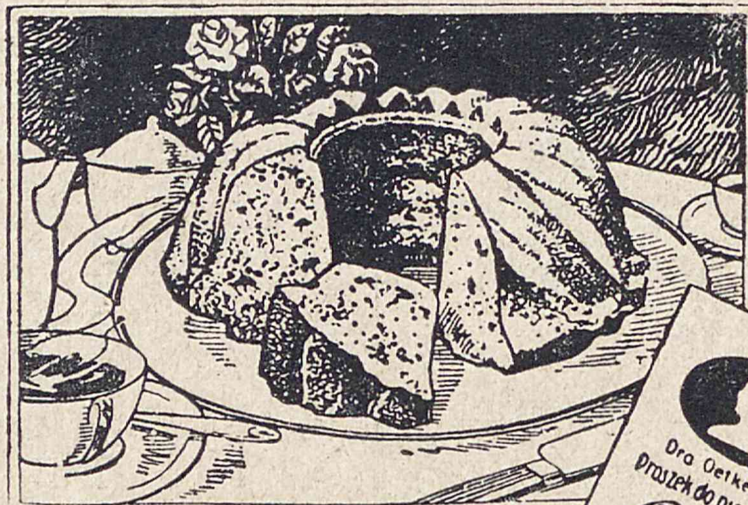
Rzeczy takie i owakie

Krok siedmiomilowy. Krok ten lada dzień będzie słychać na całym świecie, już go dobrze słychać w Ameryce Północnej i w Paryżu. Krok ten to rozwój *ki*nematografu w kierunku wyleczenia się z niemoty. W Stanach Zjednoczonych już działa tysiąc witografów, czyli kinematografów mówiących. Kinematograf niemy bankrutuje na drugiej półkuli. Ani się obejrzymy, jak dzisiejszy kinematograf, podszyty orkiestrą, lub twardodźwiękowem pianinem, będziemy traktowali na podobieństwo pierwszej lokomotywy parowej, pokracznej, ani mogącej się równać z potęgą dzisiejszych żelaznych bestji pociągowych, przypominających zgrabne muskularne zwierzęta. Będziemy się z politowaniem uśmiechali, wspominając bezgłośną *Ziemię obiecaną* Reymonta, milczącą *Iwonkę* Germana, ciche *Dzieje starego rodu* Kiedrzyńskiego i monumentalne filmy cudzoziemskie, *Wielką paradę*, *Nibelungów*, *Annę Boleyn*... Teatr, stary teatr, wchodzi do kinematografu jako zwycięzca. Na ekranie znikną napisy: ekran zacznie mówić. Przez pierwsze dwadzieścia pięć lat ekran kinematograficzny chorował na paraliż strun głosowych. Ale zaczyna przychodzić do zdrowia. Nareszcie! Kto pierwszy sprowadzi do Warszawy film mówiący i kto następnie pierwszy wyprodukuje w Polsce pierwszy (odrazu dobry!) film mówiący z Junoszą-Stępowskim, Leszczyńskim, Węgrzynem, Smosarską, Pancewiczową, etc., ten zrobi majątek w bardzo krótkim czasie. Warto się zdobyć na energję.

Gest Focha. Anglja ma zwyczaj wynagradzać swoich zasłużonych mężów nietylko orderami i tytułami, ale i pieniędzmi. Admirał Jelico, marszałkowie French i Haigs po skończonej wojnie otrzymali wielkie sumy w funtach. Gdy Focha mianowano marszałkiem Anglji, ofiarowano mu sto tysięcy funtów. Ale Foch podziękował i odmówił przyjęcia pieniędzy, tłomacząc aliantom, że we Francji zwyczaj przyjmowania pieniędzy za tego rodzaju zasługi nie istnieje.

Parlament francuski uchwalił dla wdowy po Fochu sto tysięcy franków rocznej renty jako dożywocie, bo zwycięzca w wojnie światowej nie zostawił majątku.





Z pieczywa Panie są zadowolone,
Smaczne, pożywne, a nadto też tanie,
Bo własnoręcznie było przyrządzone,
Niech koniecznie spróbują wszystkie Panie:

Backin-czyli pieczywo zdrowotne

Przyprawa: 100 gr masła, 100 gr cukru, 4 jaja 250 gr mąki pszennej, paczka proszku do pieczenia Dr Oetkera, 4 łyżki stołowe mleka, żółty naskórek $^1/_2$ cytryny lub $^1/_2$ buteleczk. Dr. Oetkera cytrynowego olejku do pieczywa.

Przyrządzenie: masło, cukier i żółtko, miesza się do wytworzenia pianki, dodając raz po raz przesianą mąkę, zmieszaną z Backin'em i dolewa się mleko. Wkońcu dodaje się do ciasta białko ubite na pianką, przyprawy i wypełnia ciastem formę wysmarowaną masłem. Placek należy piec 45 minut. Pieczywo to jest bardzo strawne, nawet dla dzieci i chorych, a zawiera wszystkie składniki odżywcze potrzebne dla organizmu. Rozpuszczając kawałek tego placka w ciepłem mleku otrzymamy wyborne pożywienie dla niemowląt. — Pieczywo można po wyjęciu z pieca i formy podać na stół, jako ciepły budyń z winną pianką.

Powyższy przepis wyjęty został z mojej barwnie ilustrowanej „książki z przepisami" wydanie F, która podaje również bliższe szczegóły o aparacie do pieczenia i gotowania „Podziw kuchni". Książkę nabyć można w każdym składzie spożywczym w cenie 40 groszy lub za nadesłaniem znaczków wprost od f-my

Dr. August Oetker, Oliwa.

TO I TAMTO

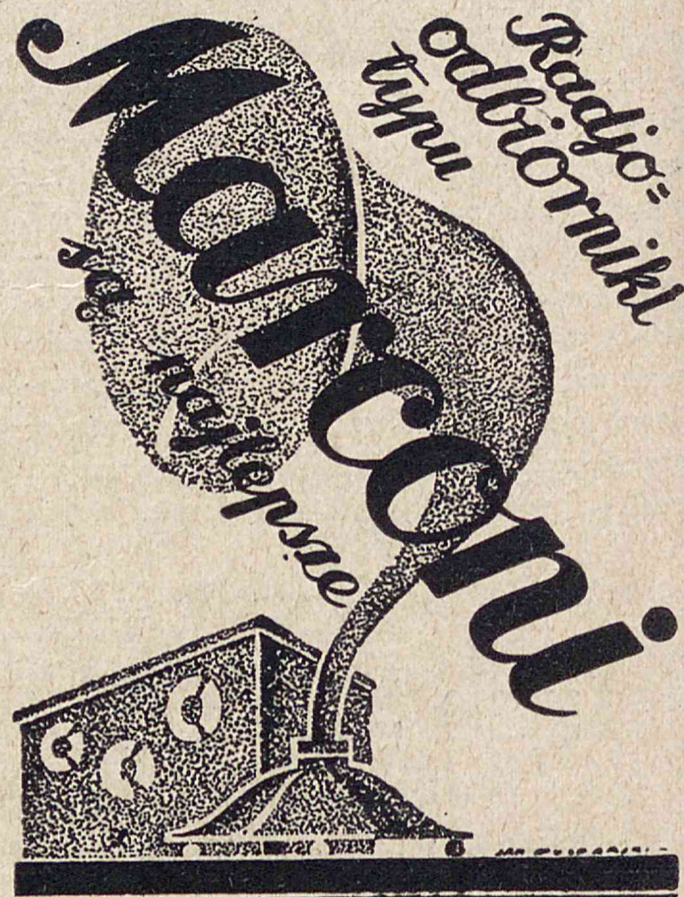
Nagrobek na prowincjonalnym cmentarzu... Żona mężowi...

„Spoczywaj w pokoju, aż do chwili, gdy się znów spotkamy"...

CIEPŁO — A URODA.

Ciepło potęguje wszelki proces chemiczny do najwyższej intensywności, a ponieważ organizm ludzki jest skomplikowanem laboratorjum chemicznem, konieczny jest dlań dowóz ciepła, by tkanki mogły się rozwijać i funkcjonować. Każda tkanka a zatem skóra i korzonki włosów wymagają częstego przypływu ciepła, celem pobudzenia ich do żywotności. Dlatego stosują lekarze diatermję do ożywczego przegrzewania cery. Diatermję zastąpić można w domu, jeśli się powlecze twarz *ożywczym kremem „Oxa" Dra Lustra* a natłuszczoną skórę okłada się kataplazmem z gorącego *siemienia lnianego.* Sposób przyrządzenia kataplazmu wytłumaczy każdy aptekarz. Pod wpływem tych zabiegów odmładza się nawet starzejąca się cera. Wystrzegać się pudrów metalicznych. Polecić mogę jedynie *roślinny puder egzotyczny Dra Lustra.* Myjąc głowę znanym *Shampoonem Dra Lustra — spłókiwać długo* głowę gorącą wodą, celem ożywienia korzonków włosów.

Dr. Z. B.







W jaki sposób uczynić każdy posiłek rozkoszą!

W myśl twierdzenia słynnego lekarza nie należy żyć, aby jeść, lecz odżywiać się, aby módz należycie wykonywać swe obowiązki.

Pożywienie nieodpowiednie wywołuje zły wygląd, zaburzenia żołądkowe, psuje humor, zmniejsza siły do pracy, zakłóca sen i. t. d. Stąd wniosek, iż w kwestji odżywiania jakość pokarmu jest ważniejsza od ilości.

Wychodząc z tego założenia, Ovomaltine stanowi prawdziwą rozkosz zarówno dla podniebienia, jak i dla żołądka. Jako pokarm wysoce odżywczy, łatwostrawny i o miłym smaku, dostarcza ona organizmowi wszystkich niezbędnych dlań substancji, nie obciążajac przytem organów trawiennych.

Początkowo przeznaczona jedynie dla chorych, wkrótce stała się Ovomaltine rannym posiłkiem każdego pracującego człowieka.

Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład.

Sprawozdanie lekarza:

„..... lecz ilekroć najstaranniejsza djeta zawiedzie, otrzymamy zawsze dobre wyniki, stosując Ovomaltine'ę.“

Ovomaltine wnosi zdrowie i radość do pokoju chorego, smakuje każdemu i jest nadzwyczaj łatwostrawna. Daje ona siły i odporność, jakich potrzebuje każdy, aby stawić czoło ciężkim warunkom współczesnego życia.



Mała przedtem bledziutka, rozkwitła jak róża . . . to też cała rodzina zaczęła przyjmować Ovomaltine'ę.

OVOMALTINE

podtrzymuje i zwiększa siły.

Dr. A. WANDER S. A., BERN

Firma założona w 1865 r.

Stosując Ovomaltine'ę rano, uczynicie rozkosznem wasze pierwsze śniadanie.

Ovomaltine'ę przyrządza się bardzo szybko: rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty w filiżance gorącego mleka (nie gotując) i osłodzić do smaku. Otrzymamy wyborny napój odżywczy, wysoko ceniony również podczas wycieczek.

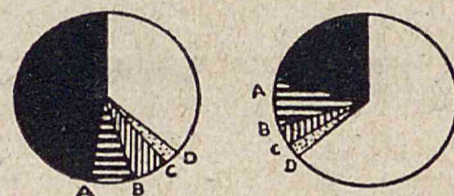
W sprzedaży wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Żądajcie prób bezpośrednio od fabryki.

Próba strawności Ovomaltine'y.

z zastosowaniem sztucznego soku żołądkowego.

na lewo: **roztwór 2 łyżek do herbaty Ovomaltine'y w wodzie.** na prawo: **czyste mleko krowie.**

Poniższe wykresy wskazują całkowitą ilość białka, zawartego w każdej z tych cieczy.



Ilość rozpuszczonej proteiny:

	A. na początku doświadczenia	B. po upływie 1 godziny	C. po upływie 2 godzin	D. po upływie 4 godzin
Mleko	22,3%	28,6%	31,6%	33,3%
Ovomaltine	47,2%	55,3%	62,0%	63,5%

Stwierdzamy, iż Ovomaltine na początku procesu zawiera podwójną ilość protein, przyczem proces jej trawienia odbywa się o wiele prędzej.

KREM
MYDŁO
PUDER

LADY

Cazimi





Kosmetyka wytwornej Pani·

BIAŁE KRUKI dzieła wyczerpane i luksusowe kupuje za gotówkę i przyjmuje w komis na czas Wystawy Krajowej i Zjazdu bibljotekarzy i bibljofilów w Poznaniu.

„KSIĄŻKA ANTYKWARJAT"
POZNAŃ, WOŻNA 12.

Najlepsza okazja najkorzystniej spieniężyć rzadkie okazy.



KUPUJCIE

TYLKO PREZERWATYWY **„VIO"**

gwarantowane przez T-wo dla Handlu i Przemysłu Sanitarnego „VIO" w Warszawie

---

Nagrodzone licznemi medalami

A. GAŁECKI i Synowie

Założone w roku 1900

ZAKŁADY OGRODNICZE

w Warszawie, Smolna 1, Tel. 36-57 i Domaniewskich 1/3 (róg Puławskiej).

Firma wykonuje: dekoracje roślinne, wieńce, bukiety wiązanki. Sprzedaż wszelkich roślin zielonych, jak palmy, auricarje, paprocie itp. Rośliny kwitnące doniczkowe oraz kwiaty cięte. Przyjmuje się też zamówienia na urządzanie ogródków i kwietników oraz ubiera balkony.



Aleksander Alfred Konar

OPTYMISTKA

Do nabycia u wydawcy F. Hoesicka oraz we wszystkich innych księgarniach

---

— CHCESZ POZNAĆ WARTOŚĆ REKLAMY, SPROBUJ SPRZEDAWAĆ SWOJE WYROBY BEZ REKLAMY...

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* Druk Galewski i Dau, Warszawa



HUMOR ZAGRANICZNY

— Niema pan żadnego stanowiska, niema pan grosza majątku, i ma pan odwagę prosić o rękę mojej córki, która ma miljon posagu!

— Ależ właśnie dla tego! Właśnie dla tego!

(La Tribuna)

TO I TAMTO

W biurze:

— Czemu czyta pan podczas godzin urzędowania gazety?

— Powieści nie mogę, gdyż zbyt krótko siedzę w biurze...

*

Na targu. Dwie kumy:

— Niech sobie pani wyobrazi, co ja wczoraj widziałam!

— No, niby co?...

— Na schodach stoi pani Mania z jakimś kawalerem. Kawaler niczego. Chciał ją pocałować...

— I cóż ona...

— Nie dała się...

— To nie moja córka...

*

W sądzie.

Sędzia, chcąc zapoznać zbrodniarza z treścią prawa, zamierza odczytać odpowiedni paragraf ze zbioru.

Oskarżony: — Panie sędzio, jeszcze jedną mam prośbę.

Sędzia: — O co chodzi?...

Oskarżony: — Proszę mi pozwolić usiąść, bo widzę, że zanosi się na długie czytanie, a ja cierpię na zawroty głowy.

*

W ogrodzie zoologicznym.

Matka do siedmioletniego Władka:

— Dokąd znów biegniesz?...

— Do słonia...

— Proszę nie odchodzić...

— Nie bój się, ja słoniowi nic nie zrobię...

*

W kawiarni:

— Nie wiesz, co się stało z Fredkiem. Od kilku miesięcy nie przychodzi...

— Szkoda go, był taki wesoły, dowcipny, żywy. Teraz pogrążył się w ciszę...

— Czyżby umarł?

— Nie! Ożenił się...

*

Na letnisku. Gospodarz:

— Czy ma pani dzieci?...

— Nie...

— Czy pani ma psa, kota, kanarka?..

— Nie...

— A może pani przywieść zamierza gramofon, radjo, fortepian...

— Też nie...

— No, to w takim razie możemy pomówić o warunkach wynajęcia.

*

W sądzie:

— Ukradł pan nie tylko pieniądze, ale ubranie, papierośnicę, zegarek...

— Tak, panie sędzio...

— I cóż powie oskarżony na swoje usprawiedliwienie.

— Przypomniałem sobie, panie sędzio, że pieniądze nie przynoszą szczęścia.

*

W szkole baletowej:

Mistrz do uczenicy:

— Według mego skromnego zdania, dwie rzeczy przeszkadzają pani do osiągnięcia doskonałości w tańcu!

— Jakie mistrzu!...

— Nogi.

*

— Czy lubi pan zwierzęta?...

— Bardzo. Szczególnie kapłona, młode prosię, świeżą baraninę.

*

DLA PRENUMERATORÓW „ŚWIATA”

OSTATNIA NOWOŚĆ!

„TEATR” STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WYSZŁY DWA TOMY (NAKŁAD KSIĘGARNI F. HOESICKA)

Tom I (str. 396) zawiera:

„WALKĘ”, dramat historyczny w 7-u obrazach

„GŁUSZCA”, komedję w 3-ch aktach

„KOLOMBINĘ”, komedję w 3-ch aktach

Tom II (str. 350) zawiera:

„PANIENKĘ Z DANCINGU”, komedję w 3-ch aktach

„AKTORKI”, komedję w 4-ch aktach

„RUSAŁKĘ”, komedję w 3-ch aktach

CENA KSIĘGARSKA POJEDYŃCZEGO TOMU ZŁ. 10.

Prenumeratorzy „Świata” otrzymają oba tomy za ½ ceny, t. j. po złotych pięć za tom

Zwracać się należy do Administracji naszego wydawnictwa



— Wszystko mi jedno. Wyjdę za niego, choćbyśmy mieli mieszkać w suterynie!

— Chcesz zejść tak nisko.

(„Le Rire“)

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA“
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13. (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ“ Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj“ Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH“
CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA